



Wydawcy i redaktorowie: Stanisław Błotnicki i Adolf Inlender.

PIEKIEŁKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Dziwnie się nieraz składają losy ludzkie.

Kiedy młodość wre w piersiach, wtedy i nadzieje w głowie zataczają olbrzymie widnokregi przyszłości, jutro skrzy się brylantowymi kolorami tęczy a niepowodzenia przyjmują się lekkim sercem w przekonaniu, iż są one tylko pewnym zadatkiem, który zapłacić koniecznie potrzeba za dalszą ścieżkę życia, tylko po samych kwiatach i aksomitach idącego do celu.

Ta wędrówka do gwiazd, do jasności, do słońca, jak często z pod skromnej strzechy wieśniaczej wyprowadza ludzi na szersze widnokregi i jak często jednocześnie drobna na pozór przeszkoda tych wędrowników z drogi spycha, łamie i marnuje ze szczerem. Najwięcej pragnień pono rodzi się tam gdzie najmniej przypuszczać można nadziei.

Jest to naturalny bardzo odruch psychologiczny, wywołany brakiem tego, czego się pragnie. Im mniej szans powodzenia, im trudniejsze przed-

sięwzięcie, tem więcej energii wytwarza natura ludzka pragnącego.

Przyjrzyjmy się dziejom życia tych wszystkich ludzi, których talenta, czy stanowiska na szczyty wyniosły.

Walka ich z życiem potężna, przeszkody olbrzymie, a jednak nie ustają oni w połowie drogi, idą naprzód, choć nieraz największe ciężary gną ich barki ku ziemi.

Tak śmiało powiedzieć można, tych wszystkich potężnych tego świata duchem i ciałem ludzkość nie otrzymała w darze dzięki zbytkowi i wygodom, jakie im szczęśliwe urodzenie dostarczało, ale właśnie tej biedzie, będącej zazwyczaj najlepszym nauczycielem życia i wyrabiającym charakter. Ludzkości—ludzi dzielnych a wielkich dała więcej uboga chata wieśniacza, lub niski domek mieszczański, aniżeli wspaniałe pałace, edredynowe pucho arystokratycznych pościeli.

Nie dowodzi to jednak aby to wszystko co zaród geniuszu w sobie nosi, do gwiazd się wzniosło; często, niestety bardzo często, skrzydła takich latających w górę jak Ikarowe roztopiają się pod zbyt gorącym rzeczywistości, wtedy zamiast geniuszów, tworzą się genialni warjaci, bohatersey zbrodniarze, szlachetne lotry i cnotliwi niegodziwcy.

Tuż poza Wesołą ulicą w podwawelskim grodzie stoi kościółek niewielki słynny z dawnych czasów i z niedawnych pono, znany pod nazwiskiem klasztoru pp. Karmelitanek. Przy kościółku tym lat temu 45 zjawił się człowiek w wieku około czterech krzyżyków o jednej nodze tylko swojej a drugiej drewnianej; urwała mu ją widocznie

kula działowa. nie trudno to było odgadnąć z poro-
raną twarzy, która dowodziła, że przybyły życia
dotąd spokojnie nie pędził.

Z twarzy jego widniało zmęczenie, za rękę trzymał
małego chłopca o czarnych krętych długich
włosach, bystrem, inteligentnem spojrzeniu i wogóle
dziwnie ku sobie pociągającej fizyognomji; w drugiej
ręce trzymał list.

Do furty klasztornej przystąpił spokojnie,
uśmiech łagodny zarysował mu się na ustach gdy
ujmował za rękojeść klasztornego dzwonka i gdy
skutkiem jego dzwonienia w okienku umieszczo-
nem przy furcie ujrzał zakapturzoną twarz mniszki.

— Czego? — było zapytanie.

Przybyły grzecznie się skłonił i przez to
samo okienko podał list, który trzymał w lewej
ręce.

Okienko się znów zamknęło: przybyły usiadł
na kamieniu, chłopiec na ziemi, głowę na kolanach
jego oparł i powoli zasnął. Gdy po półgodzin-
nym czekaniu otworzyła się furta klasztorna,
przybyły pocałunkiem zbudził chłopię, wkroczył
do tego przybytku ciszy, w którym się mają mie-
ścić spokój i odpoczynek po burzach życia.

— Matka przeorysza przyjmuje was do służ-
by, bo tak was dobrze polecił ksiądz kapelan,
ale cóż z chłopcem, przecież tu razem z wami
zostać nie może; uczyć go trzeba, a tu czegoż
się nauczy?

— Pielęgnować jak ja kwiaty; zamrę ja, to
on po mnie zostanie a z kwiatami pono lepiej niż
z ludźmi.

Zakonnica nie oponowała, list polecający wi-
docznie musiał być bardzo przychylny, a słowa
kapelana bardzo poważane tutaj, bo Grzegorz Szy-
szka, były sierżant 4. pułku ułanów natychmiast
został instalowany wraz z swoim chłopcem na
stałego ogrodnika pp. Karmelitanek.

Papiery swoje miał w porządku, a z nich
można się było przekonać, że odbył kampanję
1812. roku, że w niej nogę utracił, że następnie
powrócił na ziemię krakowską, z której był rodem,
ożenił się w cztery lata po burzliwych przejściach
a następnie gdy mu żona umarła, z jedynakiem
synem Kazikiem, do klasztoru przywędrował.

W opowiadaniu naszym stary Szyszka małą
gra rolę, krótko więc tylko nad jego zatrzymamy
się postacią. Był to człowiek prosty, którego życie
jednak otarło bardzo i który dzięki swoim wędrow-
kom po świecie, wiele rzeczy się nauczył a jeszcze
więcej przeczuwał.

Rozamiał on doskonale znaczenie nauki i sam
na sobie miał przykład tej prawdy, że bez światła

człowiek zawsze na świecie odgrywać musi tylko
rolę którą ci co umieją coś więcej, jak chcą tak
nią posuwają.

Kazika kochał nad życie, byłby wszystko od-
dał; poświęcił dla niego, ale po swojemu, po chłop-
sku: na naukę dziecka mu nie wystarczyło, myślał
więc tylko o tem, jakby mu wyrobić znośną po-
zycję na świecie, a że sam z ogrodnictwa jakie
takie utrzymanie miał, sądził przeto iż najlepiej
odpowie tym swoim marzeniom o szczęściu dziecka,
jeśli go w ten sam sposób jak sam szedł, pokieruje.

Inna rzecz, Kazik. Ten do książki czuł jakiś
dziwny pociąg, do szkółki wioskowej sam polecał,
sam się można powiedzieć czytać nauczył a w kró-
tkim stosunkowo bardzo czasie pobytu swego na wsi,
mądrością książkową przeszedł samego nauczyciela.

Stary Grzegorz największą wyrządzał mu za-
wsze przyjemność, gdy za parę centów z jarmarku
przyniósł jakąś drukowaną książeczkę.

Ubogą i smutną jest nasza literatura ludowa,
to też Kazik z tej kilkucentowej literatury niewiele
się mógł nauczyć. Fantazję jego dzieciinną rozbud-
zały obrazy wyjęte z „Alladyna“ czyli „lampy
cudownej“ i t. p. wydawnictw, w które obfitują
jarmarczne stragany.

Egzaltowały one dziecko, drażniły ciekawość
i wlewały w duszę pragnienia tych cudownych
światów, o jakich „stoją“ w książkach.

Kazik nie tylko czytać takie rzeczy ale i opo-
władać umiał; a kiedy w niedzielę przed chatą
ojcowską naszło się ludzi, to im tak opowieści
złotoustej Secherezady recytował, jak proboszcz
z ambony. Oczy mu wtedy błyszczały, śliczna
twarzyczka rumieniała się i przybierała dziwnie
piękny i rozumny wyraz. Na jednej z takich opo-
wieści spotkał go ksiądz wikary, na herezje cu-
downej lampy się oburzył i do siebie przyjąć
kazał.

Kazik dwa razy sobie tego powtarzać nie
pozwolił, a dzięki tej nowej znajomości, począł
wertować szczupłą bibliotekę księdza wikarego i
opowiadać przeczytane w niej rzeczy ludziom, tak
jak to czynił dawniej.

Ale i biblioteka księdza wikarego się wyczer-
pała: Kazik czytał prędko a nie tylko że wszystkie
zawarte w niej książki przeczytał, ale niektóre
z nich na pamięć umiał. W wiosce poczęło mu
się nudzić, a kiedy matusię na mogiłki powieźli,
za życia patrzącą w niego jak w obraz i nade-
wszystko kochającą, począł z ojcem w gawędkę
wchodzić.

— Tatulu, chodźwa do miasta — szepnął
pewnego wieczora.

Stary spojrział na dzieciaka, którego nie tylko kochał, ale i wysoko dzięki umiejętności czytania szanował i po malej chwili zastanowienia zapytał:

— A po co dziecino moja?

— Ot, tutaj już nudno, tam za górami książek dużo...

— Oj, dużo synaczku, dużo...

— Tatulu, tak mnie gna coś do nich, gna bardzo, że i wypowiedzieć nie umiem a tak bym chciał to wszystko zobaczyć, przeczytać, nauczyć się... Tatulu, chodźmy do miasta...

Grzegorz to życzenie Kazika rozważał długo. Iść do miasta czy nie iść i tutaj zostać. Sam siebie pytał i odpowiedź wypadła zawsze po woli dzieciaka.

Po co on tutaj miał siedzieć? na ementarzu jedna mogilka i nie więcej. Ludzie wszędzie jednacy a może że i z dzieciaka co będzie. Na wojaczce obilo mu się nieraz o uszy opowiadanie o ludziach co takim chcącym się uczyć dopomagali. A może... mówił sobie coraz częściej.

I kiedy Kazik znów go do miasta namawiać zaczął, na opuszczenie wioski się zdecydował, na grunt kupca znalazł, dzieciaka zabrał i w świat ruszył, zabrawszy przedtem jako człek przezorny list od księdza wikarego do księdza kapelana Karmelitanek, który też owe obowiązki ogrodnika Grzegorzowi wyrobił.

Przez pierwsze dni pobytu w nowym miejscu, Grzegorz rozglądał się po ogrodzie, a Kazik penetrował wszystkie kąty, ażali gdzie jakiego drukowanego szpargału nie znajdzie.

Znalazł, ale zdumiał się niesłychanie, bo od czytawszy pierwszą gdzieś napotkaną książkę, przyszedł do przekonania, iż ona jakoś inaczej jest drukowaną i to nabawiło go takiej gorączki że noc całą spać nie mógł. Ministranturę umiał na pamięć i stąd o istnieniu łaciny wiedział, ale książka nie była pisana po łacinie, a litery do wszystkich jakie znał, nie były podobne.

W miarę posuwających się na zegarze godzin, wzrastała gorączka i niecierpliwość Kazika tak, iż majaczyć nawet zaczął, a stary Grzegorz przelękniony i zmartwiony tym niezwykłym stanem dziecka, poszedł po radę do księdza kapelana.

Raport i rada były tej natury, że obznajomiły kapelana z całym dotychczasowym życiem młodego chłopca i dały mu poznać gwałtowną żądę nauki, jaka w młodocianych piersiach wrzała, zapragnął on poznać sam Kazika, kazał go więc do siebie przyprowadzić i przekonawszy się że opowieści Grzegorza w niczem przesadzonemi nie

były, zajął się nim bardzo gorąco, a że należał do tych księży, którzy w sferach arystokratycznych używali pewnego znaczenia, przeto łatwą mu było rzeczą wyrobić fundusz na naukę i książki, jednem słowem na to wszystko bez czego chłopię nie byłoby w możności kroczyć dalej po upragnionej drodze.

Od tej chwili Grzegorz mógł z dumą patrzeć na swego jedynaka, który nie uczył się a polykał wiedzę. Wrażliwa jego natura przyjmowała tak samo zupełnie wszystko to co słyszał, jak i wszystko to co czytał, w sposób gorący, namiętny, jak kiedyś owe historie o cudownej lampie Aladyna, rozdzierające serca prostaczków.

Wrodzona bystrość umysłu, myśl sięgająca głębiej, powaga w charakterze, wszystko to razem wzięte składało się powoli na dziecko, młodzieńca a w końcu i człowieka.

Pomoc, jaką początkowo zyskał dzięki staraniom kapelana, Kazik odrzucił natychmiast skoro przyszedł do tego stanu, w którym sam na siebie zapracować był w możności.

Rozglądał on się po księgach i świecach nie jak student wyczuający się tego co mu się wyuczyć kazano, nie jak człowiek poświęcający swój czas i pracę li tylko dla otrzymania w końcu tego świstka papieru, który się nazywa świadectwem dojrzałości. To pragnienie i ta gorączka nauki miały o wiele szlachetniejsze cele na względzie, jak urzędniczą karierę.

Kazikowi gdy dorastał, jasno już było zupełnie w głowie, dzieje, których studjom specjalnie poświęcał się z zamiłowaniem, wyrobiły w nim jak nie mniej i urodzenie, pewien demokratyczny kierunek myśli.

Zwykle jak młodzi i on marzył i on myślał o urządzeniu porządku świata wedle tej szalki, mierzącej sprawiedliwie wszystko dla wszystkich.

Kochał ojca, nie wstydził się jego spracowanych dłoni, całował je i pieścił nieraz i z dumą pod rękę nieraz kalekę na spacer prowadził.

Aż do skończenia gimnazjum nie wyprowadził się z tego ogródka i z tego domku, w którym spotkało go szczęście pańskiej opieki.

W tym ogródku godzinami nieraz przesiadując rozmyślał nad dolą własną, przyszłością i zaczął wreszcie sam siebie badać, gdzie i jak spożytkować mu będzie najlepiej te wszystkie talenta i zdolności, o których tak często powtarzali mu nieraz nauczyciele i towarzysze z ławy szkolnej.

Przywołując sobie na pamięć tarapaty swoje własne, zmartwienia w latach dziecińczych, kiedy mu tak gwałtownie chciało się uczyć, nabrał prze-

konania, iż największem szczęściem dla niego na ziemi będzie poświęcić się stanowi nauczycielskiemu, uczyć innych, tak jak jego uczono.

Kończąc filologiczny fakultet, Kazik a raczej pan Kazimierz uważany był za gwiazdę uniwersytetu i wszyscy jednozgodnie świetną mu rokowali przyszłość.

Znikł w końcu i jedyny powód, dla którego nie pilno było Kazikowi puścić się w świat dla dokończenia edukacji.

Stary Grzegorz umarł a Kazik został sam na świecie; podał się o stypendjum i miał wkrótce z niego skorzystać, gdy ofiarowano mu korzystnie bardzo opłacane lekcje polskiej literatury w domu arystokratycznym Radwanów do najstarszej córki 17-letniej panny Heleny.

Kazik w dzieciństwie był przesłizcznym dzieckiem, jako młodzieniec przesłizcznym chłopcem. Piękna jego twarz z pięknem sercem i rozumem mogła zawrócić głowę niejednej kobiecie, a cóż dopiero 17 letniemu dziewczęciu, które jak on wysuwało dopiero różki na świat, po którym ciekawie się rozglądało.

A Kazik też był młody, miał też serce i też gorąco na życie spoglądał.

Zbliżyć ku sobie dwa takie ogniska znaczyłoby samo co nie mieć wiadomości niebezpieczeństwa pożaru, jaki z nich wyniknąć może.

Pomiędzy dwojgiem młodych ludzi początkowo zawiązała się tylko przyjaźń, powoli przechodzili oboje całą gamę uczuć, która idąc crescendo, skończyć się musiała rozdziwieniem.

Dodać jeszcze wypada, że Kazik mniemał w owym czasie, iż do skojarzenia się małżeństwa koniecznem jest tylko zrozumienie się dwóch dusz w miłości i nic więcej.

Każdy z nas człowiekiem jest tylko, w każdym z nas o prawa swoje dopominają się realistyczne dwa czynniki — krew i nerwy.

Walczy przeciwko nim rozum i serce, wola i charakter, ale zwyciężają niesłychanie rzadko, zwłaszcza gdy grunt ten, na którym się odbywa walka, jest wulkaniczny grunt młodości. Tę walkę staczał też w sobie i Kazik. Na to chłopskie dziecię patrzano w domu Radwanów, którzy zimę zwykle spędzali w mieście jak na zapłaconego oficjalistę, który żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiał; jego nauka, wdzięk, sympatyczna powierzchowność zniknęły zupełnie w obec jego urodzenia, nie przypuszczano ani na chwilę, aby mógł on, parweniusz, tak wysoko podnieść swe oczy.

A tymczasem młodzi patrzali na siebie prosto, patrzali i zapominali o świecie, o ludziach i o tem

wszystkiem co wypada lub nie wypada w towarzyskich stosunkach.

Panna Helena należała do kategorii tych isiół, którym namiętność z oczu tryska, młody jej nauczyciel może byłby zdolny oprzeć się wszystkim pokusom miłości, gdyby nie ten złośliwy szatan, który zawsze i wszędzie wszubi niepotrzebnie swój nos i ludziom figle napłata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia bułgarskiego publicysty.

(Ustęp z autobiografii Zacharjasza Stojanowa.)

(Ciąg dalszy.)

II.

Ciężkiem jest rzemiosło o w c z a r l y k u, ale i ciężej i gorzej nierównie mieć pusty żołądek. Gdyby na mojem miejscu był kto inny, kto by nie słuchał tak często jak ja opowiadań o wędrówkach do grobu Chrystusowego, kto by nie umiał na pamięć wszystkich cudów Bogarodzicy — być może łatwiej znalazłby sobie jakieś zajęcie w Warnie, bodaj dla przekarmienia się. Dla mnie było to jednakże trudno, bo dzięki owym i przeróżnie innym praktykom miałem głowę tak zabiłą, że dwu słów z sensem niejakim wypowiedzieć nie mogłem. Wygłodziwszy się wściekle przez dwie doby, postanowiłem już był powrócić znowu do owiec, do wsi Indżejko o godzinę drogi od Warny u brzegu błota przytykającego do linii kolei żelaznej... Myśl ta wpadła mi do głowy bardzo wczesnym rankiem, ażeby mnie nie widzieli wszyscy owczarze, którzyby się naigrawali, że przez dwa dni nawet nie potrafił żyć bez o w c z a r l y k u, skryłem się w dębowym gaju, aby czekać nim rosa padnie, kiedy owczarze wypędzą swe stada na paszę.

Ciężka to była chwila. Z jednej strony głód wściekły, a z drugiej: wstyd, poniżenie i upadek ducha. Dopiero co wygnany sromotnie ze wsi, jakże mam do niej wracać, jak gdyby nie się nie stało... Myśl szarpała mię fatalnie, ale cóż miałem począć! Skryłem głęboko za pas mój piórnik miedziany, schowałem cygarnicę, zdjąłem fez z głowy i sięgnąłem do rękawa a b b y po mój kołpak owczarski. Ale... o dziwo! W rękawie nie było, zgubiłem kołpak!...

— Wszystko stracone! — zawołałem z rozpaczą i długom pozostał jak skamieniały. Rozstępowała się między mną i o w c z a r l y k i e m przepaść nie do przebycia... Mogłem ruszać, gdzie

oczy powiodą, byle nie do k a s z t y¹⁾). Przeklęty kołpak! Gdyby mię obaczyli owczarze z gołą głową, od razu by pomiarkowali, co to ma znaczyć, czyli żem rzucił kołpak, aby zostać mieszczuchem, a przez dwa dni nie umiałem w mieście zdobyć bodaj kawałka chleba dla nasycenia głodu... Skoro bym zaś stawiał się przed ich oczy w fezie, że sześć miesięcy nie miałbym chwili spokojnej przed ich śmiechem i naigrawaniami, w których nie brakło im swego rodzaju praktyki.

Sława Ruszczuku wielką była w owym czasie. Mówiono nadto, że jest tam szkoła sultańska I s l a c h a n e M e t c h a l a - p a s z y, w której wielu się kształciło. Dlatego też niedługo myśląc, zdecydowałem się do takowej dostać i natychmiast ruszyłem, idąc za torem kolejowym głodny, bez t e s k e r e i szeląga w kieszeni — postanowiłem w drodze zebrać o strawę... Póki był głodny wlokły mi się nogi, jak gdybym szedł na szubienicę, ale gdym gdzie z łaski dobrych ludzi napelnił żołądek, siły, odwaga i nadzieje znowu się odradzały... Nocą zasypiałem wśród zieleniejących niw i pól...

Po czterech dniach takiej podróży, bosi i z opuchniętymi nogami stanąłem nareszcie w Ruszczuku.

Nie bez wypadków wszakże przewędrowałem ten kawał ołtomańskiego imperjum. Między Szumłą i Szajtanadżikiem wyrasta z ziemi po lewej stronie toru kolejowego przedpotopowa jakaś studnica, postanowiłem był przenoćować u jej stróża, białobrodęgo starowiny. Aż tu wnet wśród nocy słysząc grzmotanie do drzwi. Starzec natychmiast znalazł się w chlewku przy studni, ja zaś ukryłem się w jakimś koszu. Wkrótce się wszakże okazało, że nie są to goście niebezpieczni. Byli to tureccy urwisy z jakąś niewiastą, którą wykradli w pobliskiej wsi. Gdy rozszalała rozpustnica poczyniała łasić się i rzucać w objęcia pijanych tureząt, poraz drugi usłyszeliśmy dostawanie się do drzwi studnicy i tym razem nierównie gwałtowniejsze niż przedtem, a niebawem dały się słyszeć i dwa wystrzały. Napadający byli podobnymi urwisami, jak uprzedni goście, a w posiadaniu ich była do chwili porwania piękna Ajsza. Poczęły się wrzaski, groźby i wymyślania z obu stron, w drzwi uderzyły szable, zaczęły świstać kule, a w gwałcie tym zaledwie było słyszeć krzyk rozpaczny i przestraszony Ajszety „w a j a n a d ż i m!“ Przez czas trwania tej awantury siedzieliśmy znowuż w chlewie, nie puszczać pary z ust. Nareszcie miła kompanja z wrzaskiem i hałasem wy-

niosła się gdzieindziej o swój skarb się rozprawać. Podobne sceny pomiędzy turekami nie są rzadkie, owszem często bardzo z racyj różnych, siekają oni jedni drugich jak trawę.

I w innym znowuś miejscu, przy studzience na drodze między Turlakiem a Chesencza kilkoro tureząt porwało mnie z drogi, z zamiarem spuszczenia do studni. Jeden z nich wrzucił był do niej właśnie swój fez i chciał abym przywiązany do lichego postronka, wydobyl mu jego zgubę. Kilku podróżnych arnautów obroniło mnie wszakże. Następnie banda cyganów zabrała mi moją a b b e i c e r w u l e²⁾ — dalej, koło Pisanic zgraja tureząt znowu mię dla czegoś ułować chciała. Ale czy to łatwo uchwycić bosego?! Pędziłem jak wichher, pozostawiając moim napastnikom jedynie kurzawę. Nareszcie w winnicy pod Ruszczukiem odebrał mi jakiś z a p t i j a mego kozika, gdyż mu się wydał bardzo dogodnym do łupania kawona... Tak oto dowlokłem się do cywilizowanego Ruszczuka, aby się zameldować do Mitchatpaszowskiej szkoły nago i boso...

Jak przystoi na owczarskie dziecko, szedłem przez ulice z rozdziawioną gębą. Na żydowskim targu w pobliżu Bajraklijskiej d ż a m i i (meczetu), kilku żydków siedzących przed swemi d i n g e n a m i³⁾ poczęli wołać na kogoś, wążącego niby na d ż a m i j e, aby z takowej zlaził. W owczarskiej mojej prostocie, nie nie podejrzewając, stanąłem i rozdziawiwszy gębę jeszcze uczciwiej, podniosłem głowę na d ż a m i j e, ale w tej chwili wylał mi ktoś za kołnierz dzban wody, poczem rozpoczęły się śmiechy, gwizdania i krzyki jak na psa. Takiem było przyjęcie, którem mię powitał Ruszczuk.

Dalej w tejże ulicy, w pobliżu k o n a k u⁴⁾, przed wielkim gmachem umalowanym na żółto ujrzałem mnóstwo chłopaków w uniformie z sinego sukna, z czerwonymi sznurami i z krótkimi kutasami na fezach. Gmach ten był szkołą rządową — a owe uniformowane chłopaki jej uczniami, którzy bawili się w różne gry, tłukli się pantoflami i wymyślali nierównie wymowniej, niż moi owczarze.

Ruszyłem natychmiast ku gmachowi, zdecydowawszy się dziś jeszcze załatwić moją sprawę wstąpienia do szkoły, rozumiałem naturalnie, że nie wymaga ona żadnych osobliwszych formalności i

²⁾ Rodzaj „łapei“ używanych u nas w niektórych okolicach, ale nie robią się one z żyłka, jeno z niewyprawionej skóry.

³⁾ Budę handlarskie.

⁴⁾ Pałac paszy gubernatora.

¹⁾ Szalas owczarzy bałkańskich.

odbywa się mniej więcej tak samo, jak zapisywanie się w poczet mieszkańców owczarskiej k a s z t y. Miedziany piórnik, ukryty dotąd za pasem, znowu wyjrzał z pod niego, jakoteż arnaucki pistolet. Zapytałem uczniów, kto tu jest zarządzający szkołą. Tymczasem dyrektor właśnie wyglądał przez okno na swoich wychowalców, z b r o j e n i c a m i⁵⁾ w rękę i białej czałmie na głowie; był to człowiek lat czterdziestu. Chciałem wejść do niego, ale ruchem ręki strażnikowi stojącemu przy gmachu szkolnym kazał mnie nie puszczać, a zawołał, abym z nim mówił przez okno.

Wypowiedziałem mu moje żądania, że przyszedł zdaleka aby wstąpić do szkoły i że go upraszam o przyjęcie mnie do takowej. Odrzekł mi wszakże, iż to niemożliwe, bo jestem już prawie dojrzały, że czas dla nauki minął dla mnie już od dawna. Nie myśląc wiele z kim mam do czynienia, zapuściłem się z nim w rozmowę po owczarsku. Między innymi pytaniami postawiłem i to, czy nie może mnie objaśnić o Bukareszcie i gdybym tamtędy poszedł, czy mnie czasem tam nie przyjmą do jakiej szkoły?...

A trzeba wiedzieć, że w owe czasy Bukareszt był postrachem dla Turków, że nie minęło jeszcze dwu lat od czasu, jak więzienia Ruszczuckie były przepełnione bułgarskimi k o m i t a m i⁶⁾ z Rumunji, a w ich liczbie był i straszny Stefan Karadżaa...

Spostrzegłem, że a d z e nie arcy się spodobało moje wspomnienie Bukaresztu, spojrzał na mnie z ukosa i odwrócił się w drugą stronę, ale cóż mię to mogło obchodzić...

— Kto wie?... — mówił — może cię tam rzyjmą... wy kierują cię na k o m i t e i do Ruszczuka przyszlą... — poczem dał znak głową, abym mu ustąpił z przed oczu.

Ale zamiast ustąpienia zawołałem radośnie:

— Jest że to prawdą, e f f e n d i m, co mi mówicie?! Jakże mogę się dostać do Bukaresztu?

— Ruszaj złąd do djabła! Widzisz go!... jeszcze mię pyta! — wrzeszczał pan dyrektor z zacisniętymi pięściami.

Rzecz jasna, że gdyby nie położył był całej tej awantury na karb mej owczarskiej głupoty, mógłby postąpić ze mną wcale inaczej, na co miał dosyć środków do rozporządzenia. Odstąpiłem

⁵⁾ Tak zowie się tutaj coś w rodzaju naszego różańca, brajence to używa się dla zajęcia rąk, gdy się nie robi.

⁶⁾ Turcy nazwali k o m i t a m i bułgarskich konspiratorów i powstańców.

z przestachem od ścian i s ł a c h a n e, próżno chcąc odgadnąć, czem mogłem urazić tak bardzo łaskawego przedtem a g e.

Wieczorem zamiast rozkoszować się w szkole, układałem się do snu w pustej łodzi przywiązanej u brzegu Dunaju, a co było wielkiem szczęściem znalazłem w niej jako posłanie szmaty, rogózki, na nich też spędziłem pierwszą noc w Ruszczuku. Psów, jak w Warnie, tym razem nie było, ale zamiast nich znalazły się komary, o dokuczliwości których ten tylko może mieć pojęcie istotne, kto usypiał w objęciach mgły wielkiej rzeki sławiańskiej.

Przez kilka dni następnych próbowałem się dostać i do konsulatu rosyjskiego i do gminy bułgarskiej i do szkoły ludowej, słowem obszedłem wszystkie wskazane mi miejsca, przez które do wymarzonej nauki przyjszeby można... W ruskim konsulacie wąsaty kawas, który miał za pasen nóż dłuższy od siebie, wyszczerzył na mnie zęby jak zwierz dziki, wzbraniając nawet przybliżenia się do drzwi strzeżonego przezeń przybytku. W szkole ludowej użyłem, nie pamiętam już jakiego wyrazu tak umiętnie, że uczniowie parsknęli głośnym śmiechem, na co drapnąłem jak oparzony. W gminie bułgarskiej, zwymyślano mię znowu jak ostatnie bydło. A stało się to znowu z racji następującej: Gdym wszedł do izby obrad, gminnych, znajdowało się tam kilka osób, głównie popów — rozprawiano o czemś bardzo żywo. Nie czekając na żadne zaproszenia, usiadłem na jednym z niezajętych stołków. Nie zwrócono też na mnie na razie żadnej uwagi, sądząc może, że przyszedłem z prośbą o datek, jak to się w czasach tureckich często po gminach zdarzało.

Korzystając z tego, że nie zwracam uwagi, nie pozostałem spokojny na mym stołku. Znalazłem pod ręką książki, począłem je więc przegłądać, bez zapytania o stosowne pozwolenie. Ciekawość moja nie miała granic... Na drugim stole przy którym radzili panowie gminni, leżało parę paczek z tytoniem; przyciągnąłem pomaluczku jedną ku sobie i skrzyłem papierosa grubego, jak szyja szampańskiej flaszki. Gdym go zapalił i pociągnął parę razy, com z wielkim uczynił hazardem, bo mi tytonik dni już kilka podniebienia nie polechtał, napełniła się wnet cała izba kłębam dymu, a jeden z obecnych popów, z suchą poźółką twarzą, począł straszliwie krztusić się i kaszlać... To nareszcie zwróciło uwagę na moją postać... Gdym im oświadczył, że przyszedłem prosić o pomoc dla dostania się do szkoły, zawołano, że godzien raczej świnię paść, niż do szkoły chodzić.

— Każdy tu wchodzi z szacunkiem największym, a ty włączysz z fezem na bakier i z papierosem w gębie, jak do karczmy jakiej! — dodał jeden z pasterzy, którego oblicze świeciło, niby księżyc w pełni.

Łatwo wyobrazić sobie moje położenie po tych zajściach. Rozbity byłem i zrozpaczony zupełnie. Rozumiałem, że do niczego niezdatny, prócz tego, by mię tłukły tatarzy na „dobrudżaiskich polanach“. Wierzyłem w prawdę owczarskiego przekonania, że kto raz w owczarską włoży skórę, już się jej nie pozbędzie, że kto lat parę owcy pasł, nie już z niego nigdy być nie może. Było dla mnie rzeczą jasną, że sam wszystkiego był winowajcą, że cierpiał dla własnej głupoty, a nie dlatego, aby ktoś inny krzywdę mi chciał wyrządzić... Położenie takie stawało się tem fatalniejszym, że brakło chleba powszedniego. Dzięki szczodrośliwości towarzyszy mego cechu, t. j. owczarzy, nie zginąłem z głodu. Jak w drodze tak podobnie i w Ruszczuku wybiegałem w pola aby wyprosić u pastuchów chleba, kłamiąc że mię właśnie wypuszczono z więzienia. Całych dni 10 żywiłem się w ten sposób. O nocelegi nie bolała mnie głowa, gdy wszyscy spieszyli do domów i chat, ja wynajdywałem jakąś pustą łódź u brzegu, lub się skryłem na noc w jakimś opuszczonej zwałisku...

Zdawało się, że mi nie innego nie pozostało, jak znowu powrócić do owczarzy. Ale, o Boże! z jakim czołem stanę przed nimi, obszarpany i wynędzniały jak włóczęga?... A nadto, gdy teraz wrócę, na całe już życie z kijem pasterskim trzeba się będzie pogodzić. Ale miałem jeszcze u owczarzy okolicznych kredyt na kawałek chleba przez dni parę, postanowiłem tedy, tu i owdzie poszukać jeszcze szczęścia, już nie u konsulów i radnych, a w wynalezieniu miejsca, któreby mi zabezpieczyło strawę i parę gałganów na okrycie ciała.

(Dokończenie nastąpi).

Z NISKICH LOTÓW.

Nędzo domowa! ty, która tajemnie
Kradniesz rumienice dzieciom urzędnika!
Nędzo, do której duch trudniej przywyka,
Niżli stepowy rumak do wędzidla!

Nędzo laniąca białe natchnień skrzydła
Artystom słońca ląknącym daremnie!
Ogniu niszczący, bezplodna ofiaro!
Za jakie grzechy jesteś ty nam karą?

Na to, byś mogła przestrozę nieść światu,
Hiobowego brak ci majestatu;
Ran swych przed ludźmi nie odkrywasz śmiecie,
Ale je chowasz, że wstydem, w ciemnościach;
Kosztowny lachman masz na chorem ciele,
Które wrzodami świeci z pod szkarlatu;
Wieniec jaskrawy spada ci na oczy,
Błado policzki farbując poirnięte,
I jesteś czerwienią, który drzewo toczy
Od wnętrza, w rdzeniu gnieźdząc się, jak w kościach —
Drzewo łni długo świeżością kłamana
I chórem płaków modli się co rano,
Aż nagle pada, jak kosą podcięte.

Sledziłem twoje śmiertelne pochody,
Nędzo społeczeństw jadowny grzybie!
I wiem jak gasisz skrzydłem nietoperza
Ogniki marzeń, szczęścia i swobody;
Jak w noc bezsemmą błyszczą nad wczęglowiem
Twoje oczy zimne, niezmrużone, rybnie;
Jak pod twym telnieniem twarz więdnienie świeża,
I traci uśmiech pospolny ze zdrowiem,
Jak podkopujesz rodzin fundamenta,
I gnębisz dusze niepojętym lękiem,
Jak się objawiasz bladeścią i jękiem,
A nigdy w głośnie nie przejdiesz lamenta;
Jak się zaczajasz, pelasz, skradasz, zwijasz,
Jak obezwładniasz, a potem zabijasz...

O! są boleści przeklęte, poziome,
Które się boją słonecznego blasku,
I lica wstydu piętnują rumieniem;
Są nroki nigdy niewidzące brzasku.
Swoich przeznaczeń ponurych świadome
I śmierć niosące najdzielniejszym duchom;
Są bezlitośne pohańbienia serca.
W których los węzów opasuje wieńcem,
Przygniata, dusi, jednak nie uśmierca;
I jest okrutna szlachetnych Golgota,
Na której giną pospoli z łotrami,
Dla tego tylko, że ich nędza plami,
Że los poskapił im — złota...

Wiktor Gomulicki

GAZECIARZ I CZYTELNIK

SATYRA

N. SZCZEDRYNA.

Był sobie raz gazeciarz i był sobie raz czytelnik. Gazeciarz był kłamca — zawsze kłamał, a czytelnik był łatwowierny — wszystkiemu wierzył. Taki już oddawna zwyczaj na świecie: kłamcy kłamią, a łatwowierni wierzą. Suum cuique.

Siedzi gazeciarz w swoim barłoga i nic nie robi, tylko kłamie i kłamie. „Strzeżcie się! — woła, — dyfterja dziesiątkuje mieszkańców!“ Deszczów — prawi — od samego początku wiosny nie ma, — kto wie, czy nie pozostaniemy bez chleba“. „Pożary niszczą wioski i miasta.“ „Dobro państwowe i krajowe kradną!“ A czytelnik czyta i myśli, że gazeciarz oczy jemu otwiera. — „Ależ to u nas wolność druku! — woła on, — gdzie tylko nie spojrzysz, wszędzie albo dyfterja, albo pożar, albo nieurodzaj!“

Czem dalej, tem więcej. Zmiarkował gazeciarz, że kłamstwa jego przypadły czytelnikowi do gustu — zaczął jeszcze więcej podsypywać. „Żadnego — mówi — u nas bezpieczeństwa nie ma! Nie wychodź — mówi — czytelniku na ulicę, bo możesz dostać się do kozy“. A łatwowierny czytelnik jak łabędź płynie po ulicy i potakuje: „Ach, jak trafnie wyraził się gazeciarz o braku u nas bezpieczeństwa.“ Co więcej: spotka drugiego łatwowiernego czytelnika i pyta: „A co, czytał pan, jak przesłicznie dzisiaj gazeciarz rąbnął o braku u nas bezpieczeństwa?“ — „Jakżeby nie czytać, — odpowie drugi łatwowierny czytelnik, — niezrównanie! Nie można, rzeczywiście nie można u nas po ulicach chodzić, — zaraz cię do kozy zapakuja.“

I wszyscy wychwalają wolność druku. „Nie wiedzieliśmy, że u nas dyfterja — chórem śpiewają łatwowierni czytelnicy, — a tymczasem proszę spojrzeć!“ I tak im się od tej pewności lekko na duszy zrobiło, że gdyby teraz ten sam gazeciarz powiedział, że dyfterji nie ma, to kto wie, możeby i gazecinę jego czytać przestali. A gazeciarz i rad z tego, bo dla niego kłamstwo — czysty zysk. Prawda nie każdemu dana — szukaj, dobijaj się jej, nawet 10 kopiejek za wiersz mało. A kłamstwo co innego! Pisz sobie i kłam, co się wlezie! Pięć kopiejek za wiersz — i ze wszystkich stron nawała ci kłamstw całe stopy.

A jaka przyjaźń gruba między gazeciarzem i czytelnikiem! Nawet wodą jej nie zalejesz. Im więcej kłamie gazeciarz, tem więcej się zbogaca, bo kłamcom przecież niczego innego nie trzeba: a czytelnik im więcej go okłamują, tem więcej szóstaków niesie gazecia-

rzowi. I „en gros“ i „en detail“ na wszelkie sposoby gazeciarz pieniążki garnie.

— Spodni nie było! — mówią o nim zazdrośnicy, — a teraz patrzcie jak się buńczuczny! Specjalnego pochlebę sobie najał! Nowelistę z życia ludowego sobie sprawił, i co mu bieda zrobi!

Próbowali drudzy gazeciarze przystawić mu stołkę zapomocą prawdy: ano, myślą sobie, może na naszą ponętę abonenci przybiegną, — ale gdzie tam! Czytelnik i znać niczego nie chce, a tylko ciągle deklamuje:

Nad prawdą ponurych tysiące

Droższe mi kłamstwo błyszczące...

Nie wiem już, czy długo czy krótko tak się działo, dość że wreszcie znaleźli się dobrzy ludzie, którym żal było łatwowiernego czytelnika. Przywołali kłamicę gazeciarza i mówią mu: „Dosyć już, ty bezwstydnny i niewierny człowiecze! Dotychczas handlowałeś kłamstwem, a od dziś masz handlować prawdą!“

Ba, równocześnie i czytelnicy zaczęli pomaleńku trzeźwiej na rzecz spoglądać, zaczęli gazeciarzowi korespondentki wypisywać. „Przechadzałem się — pisze czytelnik — dziś z córką po Newskim prospekie, myślałem w furdygarni nocować (córka nawet chleba z masłem na wszelki wypadek z sobą nabrała i mówiła: ach, jak to wesoło!) a zamiast tego obydwójce szczęśliwie wróciliśmy do domu. Jakże taki pocieszający fakt pogodzić z waszymi wstępnymi artykułami o braku u nas bezpieczeństwa osoby?“

Rzecz naturalna, że gazeciarz ze swej strony tylko tego czekał. Prawdę mówiąc, jemu już i samemu zbrzydło wciąż kłamać. Serce jego oddawna ku prawdzie się chyliło, lecz cóż miał robić, kiedy czytelnik tylko na kłamstwo się łowi. Choć płacz, a kłam. Ale teraz, kiedy do niego ze wszech stron z nożem ku gardłu nalażą, by prawdę gadał, — cóż, on gotów! Chcecie prawdy — i owszem, bierz djabli! Za kłamstwo dwie kamienice kupił, — dwie drugie trzeba będzie już kupić za prawdę.

I zaczął on co dnia bożego czytelnikowi prawdą doskwierać. Dyfterji nie ma, choć pękni! I kozy nie ma, i pożarów nie ma, a choć tam spalił się jakiś Kotonotop, to po pożarze jeszcze lepiej się odbudował. A urodzaj, dzięki ciepłym deszczom, wypadł taki obsfity, że i sami jedli, jedli, i wreszcie niemcom pod stół rznać zaczęli: bierzcie, dławcie się!

Lecz co najejawkawsza: drukuje gazeciarz samą tylko prawdę, a od wiersza ciągle po pięć kopiejek płaci. I prawda z ceny spadła, od kiedy zaczęto nią „en detail“ handlować. Pokazuje się, że czy prawda, czy kłamstwo — wszystko jedno, cena — grosz złamany. A szpalty gazety z tego powodu nie tylko że nie stały się nudne, lecz jeszcze bardziej się ożywiły, bo jak za-

czniesz porządnie obrabiać dobrobyt krajowy, to mało-widło takie stworzyć można, że oddaj wszystko, i tego jeszcze mało.

Wreszcie czytelnik zupełnie wytrzeźwiał i przejrzał. I dawniej żył on nie kiepsko, kiedy kłamstwo za prawdę brał, a teraz to i zupełnie się ubezpieczył. Zajdzie do piekarni, tam jemu mówią: „Da Bóg, z czasem chleb i całkiem potanieje!“ Zajdzie do sklepu z dziczyzną, a tam jemu mówią: „Da Bóg, z czasem i jarząbki całkiem za darmo rozdawać będziemy“.

— No, a teraz po czemu?

— Teraz jeszcze rubel i dwadzieścia kopiejek za parę!

Takie to zwroty przy bożej pomocy!

I oto raz wyszedł łatwowierny czytelnik spokojniutko na ulicę. Idzie „w nadziei sławy i dobra“ i laseczką rozmachuje, niby mówi: a więc wiedźcie, że ja od dziś zupełnie bezpieczny! Ale właśnie tym razem jak na biedę, trafiła mu się przygoda. Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy w tem ktoś tam zrobił — „jurydyczną pomyłkę“ i mego czytelnika posadzono do ciupy.

Tam on cały dzień wysiedział bez jadła. Prawda traktowali go, lecz on popatrzył, popatrzył i nie jadł, a tylko rzekł: „E, ot jakie to nasze urodzaje!“ Tam też on dostał dyfterji.

Rozumie się, na drugi dzień „jurydyczna pomyłka“ została wyjaśniona i jego wypuszczono za kaucją (kto wie, co wypadnie, może go jeszcze raz będzie trzeba.) On wrócił do domu i umarł.

A kłamca gazeciarz żyje dotychczas. Czwartą kamienicę pod dach już wyprowadza i od rana do wieczora tylko o jednym przemysliwa: czem to jemu na przyszłość zręcznie będzie łatwowiernego czytelnika oszukiwać: czy kłamstwem, czy prawdą?

Kara śmierci.

STUDJUM

przez

dr. A. Złotnickiego.

(Dokończenie.)

Istnienie kary śmierci utrudnia śledztwo sądowe; denuncjanci bowiem i świadkowie, widząc że od ich zeznań zależy życie oskarżonego mogą zamilczeć o niektórych okolicznościach, potrzebnych do wyjaśnienia sprawy. Pomimo największej ostrożności i bezstronności, sędziowie łatwo przez to w błąd mogą być wprowadzeni i przez niesprawiedliwe skazanie na śmierć, dopuścić się mogą zbrodni „sądowego morderstwa“.

W 1854 r. w miasteczku Eldachsen, w Hanowerze, popełniono podwójne morderstwo w celu rabunku. Oskarżeni w tej zbrodni mularz i piekarz, uznani zostali przez sąd przysięgłych za winnych i skazani na śmierć, którą to karę później zamieniono im na więzienie. Piekarz, który przyznawał się tylko do kradzieży, powiesił się w więzieniu. Po jakimś czasie udało się rzeczywistego zbrodniarza na nowem schwycić zabójstwie i po przyznaniu się do winy skazano go na śmierć; mularz zaś został niewinny i wypuszczony na wolność. Przez wykonanie pierwszego wyroku popełnionoby morderstwo sądowe, ulaskawienie zapobiegło tylko temu.

Wypadek podobny zdarzył się niedawno w Tübingen. 3 października 1882 roku, wirtemberezyk Knapp, oskarżony o zbrodnię zabójstwa małżonków Schullthess w Kösnacht koło Zurychu, dokonanego w d. 26. kwietnia 1882 r. i o zbrodnię popełnionego następnie rabunku, — po krótkiej naradzie sędziów przysięgłych skazany został na śmierć. Wszystkie okoliczności zdawały się przemawiać na niekorzyść oskarżonego, który jednak nie przyznawał się do winy. Obecność Knappa w Zurychu w czasie dokonanej zbrodni, jego natychmiastowy i tajemniczy wyjazd, w nowem ubraniu, z ogoloną twarzą, w celu zatarcia śladu po sobie i posiadanie znacznej sumy pieniężnej — wszystko to, dostateczny stanowiło dowód winy. Po odcytaniu wyroku Knapp wyjaśnił dopiero, iż znalezione przy nim w chwili aresztowania w Sztutgarcie pieniądze skradł w Zurychu 27. kwietnia t. r. u agenta Höpfnera w porze obiadowej z otwartego biurka. Śledztwo wykazało prawdziwość tego zeznania. Poszkodowany nie donosił o tym fakcie policji, gdyż podejrzewał o to jednego z swych towarzyszy, którego nie chciał kompromitować sądownie. W dniu 31. października 1882 r., sąd krajowy w Tübingen zniósł wyrok sędziów przysięgłych i uwolnił Knappa od odpowiedzialności za zbrodnię zabójstwa i rabunku. Lecz gdyby nie odszukano owego okradzionego agenta, czyżby nie popełniono sądowego morderstwa, skazując niewinnego człowieka na śmierć?

W ciągu bieżącego stulecia skonstatowano w Europie i Ameryce, przynajmniej 80 pomyłek sądowych, względem oskarżonych. Rzeczywiście jednak więcej ich trzeba liczyć niż 80, gdyż jeśli komu za życia nie udało się dowieść swej niewinności, to po śmierci trudniej to daleko uczynić komuś innemu. W Anglii skonstatowano do 1868 roku, 17 pomyłek sądowych, (wykonano 8 wyroków śmierci przez powieszenie), we Francji w jednym tylko roku 1826 — dziewięć pomyłek.

We Włoszech w 1885 r., o mało nie gilotynowano pewnego niewinnego człowieka. Skazany leżał już na desce, topór spadł... lecz dzięki jakimś błę-

dowi popełnionemu w konstrukcji gilotyny, zawisł o kilka cali nad jego głową. Po kilku minutach goniec przyniósł wiadomość, iż rzeczywisty zbrodniarz został wykryty.

Sąd przysięgłych w Hainnaut skazał w r. 1862 9 morderców na śmierć. Lecz zanim ich odszukano, kilku niewinnych padło już ofiarą sądowego morderstwa.

Włoch Paleziani, posądzony o zabójstwo Michała Hartingtona, skazany został w Londynie na powieszenie. Wyrok odroczono na trzy tygodnie. W tym czasie pochwyciono rzeczywistego mordercę Magny Gregorio i to uratowało Palezianiego od śmierci.

Wiele podobnych można by tutaj przytoczyć jeszcze przykładów, gdyż nie mało liczą ich kroniki sądowe; przykłady te wywołują głosy niezadowolenia w całym cywilizowanym świecie. Pomyłki takie wszędzie są możliwe, gdzie są ludzie, którzy w dobrej wierze sąd na mylnie naprowadzić mogą drogi, gdzie są policjanci starający się wszelkimi sposobami o zapewnienie sobie kariery.

Wobec tego sędziowie, nie będąc zupełnie przekonani co do stopnia winy oskarżonych, ostrożniejszymi być muszą w wydawaniu skazujących wyroków, a wskutek tego i uwolnienia od odpowiedzialności muszą być częstsze. Nie jednemu więc rzeczywistemu zbrodniarzowi udać się może w ten sposób ująć z rąk sprawiedliwości.

Ułaskawienie skazanych stało się w wielu krajach zwykłą regułą. W Anglii skazywano na śmierć rocznie:

| | | wykon. wyrok na |
|--------------------|------|---|
| Od 1822 do 1831 r. | 15.3 | 13.2 t. j. 86 ^o / ₁₀₀ |
| " 1832 " 1841 " | 17.2 | 10.3 " 59 " |
| " 1842 " 1851 " | 17.9 | 10.6 " 59 " |
| " 1852 " 1861 " | 18.2 | 10.4 " 57 " |
| " 1862 " 1871 " | 22.4 | 11.7 " 57 " |
| " 1872 " 1878 " | 27.4 | 17.4 " 60 " |

Ilość przestępców skazywanych na śmierć we Francji z 2.5^o/₁₀₀ w 1826 do 1830 r. zmniejszyła się stopniowo do 0.8^o/₁₀₀, w 1878 r. Z 3388 osądzonych w 1879 r. (oskarżonych liczono 4347 osób) skazano na śmierć 20 mężczyzn i 3 kobiety, tj. 0.67^o/₁₀₀. Wyrok śmierci wykonano jednak tylko na 4 osobach.

W Austrii, od 1863 do 1872 r., skazywano na śmierć przeciętnie rocznie 46 osób, wykonywano zaś tylko 4 wyroki śmierci. Z 469 wyroków śmierci, od 1873 do 1877 r., wykonano tylko 8.

We Włoszech (1867—1876 r.) z 392 wyroków śmierci wykonano 34, tj. 9^o/₁₀₀ zaledwie.*)

Kara śmierci nie może być proporcjonowaną odpowiednio do większego, lub mniejszego stopnia zbro-

dni. Porównajmy Beatrice Cenci z Tropmanem. Młoda dziewczyna zmuszona przez własnego ojca do niemoralnego czynu popełnia ojcobójstwo w porozumieniu się z wybranym swego serca i innymi członkami rodziny, ażeby uwolnić się od ojcowskich uścisków miłosnych. A Tropman? Tropman mordował dla pieniędzy.

W Szwecji 1856 r. pewna dziewczyna zabiła swego ojca za grubiańskie obchodzenie się z jej matką. Porównajmy ją z Timen Thode'm, który w 1867 r. zabił swego ojca, matkę, brata i siostrę, 7 czy 8 osób, podczas snu, ażeby jedynym zostać po nich spadkobiercą.

Cztery te osoby ukarano śmiercią. Czy sprawiedliwie? Ułaskawienie mogło w części wynagrodzić ten błąd, wynikający z nielogicznego zastosowania kary śmierci do wszystkich morderstw. Przyjęcie przez sędziów łagodzących okoliczności może naprawić tę nielogiczność kodeksów karnych, lecz prawo traci przez to wszelką obiektywność, jaką się zawsze powinno odznaczać. Prawo francuskie z 1832 r. pozwala sędziom przysięgłym przez przyjmowanie łagodzących okoliczności uniemożliwiać wyroki śmierci. Sędziowie też korzystają z tego przywileju, stosując go często dowolnie i nie zawsze sprawiedliwie.

Wykonywanie egzekucji publicznie, jak nauczyło doświadczenie, działa w wysokim stopniu demoralizująco. Już Dickens po egzekucji dwóch Manningsów w 1849 r. powiedział: „Znam życie londyńskie w całym jego zepsuciu, ale przekonany jestem najzupełniej, że najbystrzejszy umysł nie jest w stanie nic takiego wymyśleć, co by w tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni zrzędało tyle zła, co egzekucja publiczna.“ Jest to szkoła kształcąca dzięki instynkty i wydobywająca je z ukrycia.

W 1854 r. Edwards był świadkiem egzekucji Taylora Wards'a, a po sześciu dniach zamordował swą kochankę.

Dwóch robotników w Sztokholmie, powracając z miejsca egzekucji, pokłócili się i jeden drugiemu wsadził nóż w piersi. Wkrótce potem pewien marynarz zabił swego towarzysza.

Momble, morderca pewnej kobiety i dziecka, został ścięty 5. sierpnia 1869 r. W 10 dni później Tropman popełnił morderstwo, którym rozpoczął cały szereg innych. Po ścięciu Tropmana skazano trzech dalszych jego naśladowców.

Roberts, jałmużnik więzienia w Bristol, zapewnia, że z 167 skazanych na śmierć, których prowadził na rusztowanie, 161 byli poprzednio świadkami rozmaitych egzekucyj.

Jałmużnik Bicherstek z Lords powiada, iż wszyscy skazani, z którymi rozmawiał, byli obecni przy wykonywaniu kary śmierci.

*) Cyfry powyższe wyjęte z dzieła v. Oettingen'a: Die Moralstatistik. Erlangen 1882 §. 721—2.

I tajemna egzekucja oddziaływa w podobny sposób.

W Massachusetts, w dniu 5. stycznia 1845 r., powieszono wewnątrz więzienia pewnego zbrodniarza za morderstwo i za gwałtowne pobicie. W kilka dni potem popełniono w pobliżu tegoż więzienia morderstwo; nieco później gwałtownie kogoś pobito, w marcu — dwa zabójstwa, a po kilku miesiącach jeszcze jedno popełniono morderstwo.

Złe wykonywane egzekucje, straszne niekiedy wywołują sceny. Misserndörfer'a w Monachium sześć razy uderzono toporem, zanim skonał. Podobna scena przytrafiła się przy egzekucji Bary'ego w Genewie w 1861 roku. W 1849 czy też 1850 r., w Pamiers, pięć razy spuszczał kiel topór na szyję skazanego, zwiększając tylko straszne jego męczarnie. Dopiero służący kata, przy pomocy swego noża. położył koniec scenie tej okropnej!...

Przykłady powyższe dostatecznie wykazują demoralizujący wpływ kary śmierci na społeczeństwo. Przytrafiające się często wypadki morderstw sądowych powinny raz za zawsze położyć koniec zbrodnicemu nadużywaniu sprawiedliwości, sama zaś nielogiczność jednakowego zastosowywania kary śmierci jak do większego tak i do mniejszego stopnia winy oskarżonego powinny zmniejszyć szeregi dzisiejszych prawodawców, chcących w osobie kata widzieć ostatnią instrukcję sprawiedliwości.

Dr. A. Złotnicki.

J A D,

POWIEŚĆ

ALEKSANDRA KIELLANDA

przełożył

A d i n.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział trzeci.

Przy półrocznym egzaminie Abraham posunął się o kilka stopni naprzód, Marius natomiast mimo całej swej łaciny, musiał, pozostawiając przed sobą nawet Mortena Grubasa, usunąć się na sam koniec klasy. Nauczyciel matematyki zagroził mu nawet, że jeżeli w następnym półroczu nie wykaże bardzo znacznych postępów, nie przejdzie do czwartej klasy.

Abraham bynajmniej nie był pilnym uczniem, ale przedsięwziął on sobie ciągnąć Mariusa ze sobą naprzód, a że uczył się z łatwością, wystarczało mu więc jeżeli przerobił raz z Mariusem lekcję.

Marius natomiast musiał rozpoczynać naukę zaraz po szkole, a następnie przerobiwszy lekcję z Abrahamem, wracał do domu i dopiero na nowo zaczynał się uczyć.

Wykształcenie ich klasyczne doszło teraz do tego stopnia, że mieli tygodniowo dziewięć godzin łaciny, a pięć godzin greki. Opuścili już Cezara, ażeby ducha swego odświeżyć traktatem Cyserona „O starości.“ Kiedy ich młodzieńcze organa mowy nagięły się dostatecznie do czasowników na *mi*, rozpoczęli pięć razy na tydzień z Ksenofontem odbywać wycieczki do boskiej Hellady.

Młode umysły coraz bardziej zarastały chwastem. Z czasem zacierała się w nich różnica między nauką, która budzi zajęcie, a nauką suchą i przykrą. Wszystko stawało się dla nich obojętnem, cenili naukę tylko według tego, o ile cenili ją szkoła. Podczas nauki nie przywiązywano najmniejszej wartości do tego, co w życiu praktycznym doniosłe posiada znaczenie. Najprzedniejsze miejsce zaś zajmowały długie procesje martwych słów, o martwych rzeczach, reguły i prawa, które przygważdżano do młodych mózgów tak, żeby na wieki tam pozostały; obce dźwięki obcego życia, prastary pył którym skrupulatnie zasypywano każdy kącik młodzieńczego mózgu.

Wiek Mariusa i Abrahama, od czternastego do piętnastego roku, srogi to czas, kiedy oczy się otwierają, ciekawość staje się nienasyconą, budzi się możność i wola zrozumienia wszystkiego, dusza rwie się do zdobycia świata i tego co po za nim leży — a na to wszystkie pył, prastary, subtelny pył, którym zasypują każde kielkujące pytanie, każdy zarodek, który nie jest zarodkiem chwastu. Ale to mija, już z szesnastym lub siedemnastym rokiem pył przysechł, ciekawość zaginęła, młodzieńiec nauczył się, że w szkole trzeba być pytanym, nie zaś pytać się, a nadto stary chwast w mózgu zaczyna mu się podobać, zaczyna rozumieć że ma szczęście być jednym z uprzywilejowanych stworzeń.

Pewnego razu, w zimie, przy ostrym wietrze, mały Marius przed godziną ósmą prawie jeszcze w ciemności, owinięty w płaszcz, dążył do szkoły, walcząc z wichrem i śniegiem.

W klasie było jeszcze na wpół ciemno i chłodno. Morten leżąc na ziemi dokładał drzewa do pieca, inni przemokli i zziębnięci grzali się naokoło pieca.

Marius osuszył nasamprzód książki, potem siebie samego, chustką z której fabrykował szczury. Abraham Loevdał małpował rektora, odczytując z zawieszonego na ścianie kartonu wybrane paragrafy z przepisów zachowywania się w szkole.

— Paragraf czwarty — czytał, udając jakby opychał sobie nos tabaką — uczniowie muszą ukazywać się w szkole zawsze porządnie i czysto ubrani. Paletoty i czapki wieszać mają na przeznaczonych do tego przyrządach a to z należytą ostrożnością i w porządku. Tak samo muszą je później zdejmować. — „je“ zawołał Abraham — co to ma oznaczać?

— Je — odrzekł Marius — znaczy przyrządy.

Drugi utrzymywał, że „je“ ściąga się na ostrożność i porządek i powstała wskutek tego żywa sprzeczka językowa. Marius nie brał już w niej udziału, usiadł on w ławie i mruczał konjugację, trzymając grecką gramatykę tuż przy oczach. W tyle bowiem, gdzie było jego miejsce, było jeszcze prawie ciemno.

Podział godzin na sobotę, a była to właśnie sobota, zawierał:

- Od 8— 9 Greka.
- „ 9— 10 Historia.
- „ 10—11 Język norwegijski.
- „ 11—12 Arytmetyka.
- „ 12— 1 Łacina.
- „ 1— 2 Łacina.

W sobotę szkoła trwała do godziny drugiej, w inne dni tylko do pierwszej.

Wreszcie wsunął się do klasy starszy nauczyciel Bessesen, w kaloszach i w gumowym płaszczu z parasolem, ciepłymi rękawiczkami i owinięty szalem. Wejście jego do klasy nie wywarło najmniejszego wrażenia. Abraham powiedział całkiem spokojnie: „przyszedeł już ten stary jeż,“ a Morten nie przestawał manewrować koło pieca. Dopiero gdy nauczyciel wyluszczył się z płaszcza, szala, rękawiczek i td., usiadł na katedrze, uczniowie pomału wchodzili w ławki i nauka rozpoczęła się.

— Zaczynaj ty Abraham Loevdahl — rzekł jeż, zaglądając do notatek, w których zapisywał klasy.

— Miałem wczoraj tak silny ból głowy, że nie mogłem przygotować się z Greki — odrzekł Abraham głosem smutnym ale szczerem, a Marius wypatrzył się na niego zdziwiony. Stary uśmiechnął się, pokręcił głową i wyszukał innego, który dał się pytać.

Starszy nauczyciel Bessesen, przez wiele lat starannie przysypywał pyłem umysły dzieci i dawno już obchodził dwudziestopięć-letnią rocznicę służby, Zakres jego wiedzy niebył szeroki, ale to co umiał, umiał dokładnie. Z Greki wiedział najdokładniej czego potrzeba do głównego egzaminu i z góry mógł powiedzieć, jakie pytanie otrzyma

student przy każdym ustępie z przepisanych w szkole autorów.

Odpowiedzi na te pytania wpajał powolnie ale systematycznie najlepszym swoim uczniom, inni uczniowie byli mu obojętni.

Siedział on tak skureczony na swoim miejscu, że prawie gubił się w surducie; broda spoczywała na książce, sztywne włosy sterczały na wszystkie strony, a zaczerwienione oczy, rzadko tylko podnosiły się na klasę. Był on bowiem wielkim amatorem spokoju. Nie widział i nie słyszał, jeżeli pytany uczeń odpowiadał czytając z drukowanego tłumaczenia, albo jeżeli podpowiadano mu, choćby najgłośniej. Doświadczenie długoletnie pouczało go, że nie warto mieszać się w takie rzeczy, a zresztą rzecz szła o wiele gładziej, jeżeli słabszym uczniom cokolwiek pomagano. Mimo to, nie był on bynajmniej ospałym, a każdy błąd chociażby najmniejszy, natychmiast go uderzał. Jeżeli kto mieniał aoristus z imperfektem, zrywał się jak ukluty, zresztą jednak nie troszczył się o to, co się w klasie działo, chyba że przechodziło już wszelkie granice.

Tak urzędował sobie spokojnie dalej, a młodzi ludzie, którzy w ciągu lat uczyli się pod jego kierownictwem, wszyscy z tą samą regularnością i w tym samym tempie przeszli Ksenofonta, Homera, Sofoklesa, Herodota i Plutarcha. Wszystko odbywało się w ten sam sposób bez zmiany i urozmaïcenia; w wierszach zarówno jak w prozie, uajwiększą rolę odgrywała zasadnicza różnica między aorystem a imperfektem. Jeżeli kiedy uczeń tłumacząc, roześmiał się nad którąś z wesołych dykteryjek Herodota, stary jeż podnosił na niego zdziwione oczy; tego niemógł on w żaden sposób zrozumieć.

Pierwsza poranna godzina wlokła się więc zwyczajnym, spokojnym trybem. Ci którzy nie chcieli by ich pytano, mieli teraz lub przedtem ból głowy, a jeż musiał po każdej takiej odpowiedzi szukać innego, który więcej okazywał gotowości do odpowiadania, mając z jednej strony obok siebie tłumaczenie, z drugiej—wypisane wokabulary.

O godzinie dziewiątej stary jeż zebrał wszystkie swoje manatki i wyniósł się do innej klasy.

Także lekcja historii od godziny dziewiątej do dziesiątej odbyła się spokojnie. Lekcję tę odbywał adjunkt Barrington z gęsimi piórami, a u niego radzono sobie rozmaitemi sztuczkami. Dla Mariusa koniecznem było żeby mu kto podpowiedział pierwszych kilka słów. To jednak nie zgadzało się z metodą adjunkta. Dziś naprzykład otrzymał Marius pytanie:

— Kiedy odwróciło się szczęście?

Poczem adjunkt począł majstrować piórami. Po chwili znów zapytał:

— No, kiedy odwróciło się szczęście? — dmuchnął w pióro i majstrował dalej. Marius umiał wszystko co o Karolu XII w książce było, jak pacierz, ale nie wiedział że szczęście odwróciło się w roku 1708. Abraham podpowiedział mu pierwsze słowa:

— Ale w roku 1708 odwróciło się zezęście — poczem już Marius wyrecytował cały rozdział bez zająknięcia się.

Tymczasowo usiłowaniam Mortena udało się rozżarzyć piec tak, że aż okna musiano otworzyć.

— Kto napalił w piecu? — zapytał rektor, skoro tylko z pakietem zadań wszedł do klasy. Żadnej odpowiedzi. Skoro jednak w tonie ostrzejszym zapytał się poraz drugi, odrzekł primus:

— Zdaje mi się że to Morten Kruse...

— A więc to ty Morten zajmujesz się takimi rzeczami? Chodźno tu i wyszukaj mi paragraf przepisów szkolnych, który pozwala uczniom palić w piecu.

Gruby Morten ociężałe ustawił się pod tablicą z przepisami i zagapił się w sufit.

— Cóż, mój chłopcze, nie możesz znaleźć paragrafu, czy chcesz bym ci pomógł? — zapytał rektor ciągnąc go jedną ręką za ucho, a drugą wskazując na przepisy. — Odczytaj-no paragraf piąty donośnie i wyraźnie.

— Paragraf piąty! — czytał Morten grubym głosem — w klasie powinni uczniowie natychmiast udać się na miejsce i nigdy nie czynić wrzawy ani nieporządku. Uczniowi nie wolno jest opuszczać swego miejsca bez wyraźnego zezwolenia.

— Cóż więc Morten, wiesz już teraz jak się uczeń zachować ma w klasie? Co?... Czy jest tam co o paleniu w piecu?... Jest!?

Przy każdym pytaniu rektor silniejsz ciągnął go za ucho, aż biedny Morten tańczył na kończynach nóg. Cała klasa śmiała się, a Morten upokorzony poszedł na miejsce.

Tymczasem primus podzielił teki z zadaniami, zaglądając do każdej jaką kto miał klasę. Marius jak zwykle otrzymał „miernie“, chociaż tym razem spodziewał się lepszej klasy, zadanie bowiem podobało mu się, gdyż sam tytuł zajmował prawie pół strony, a największą trudnością było zazwyczaj dla niego napisanie długiego zadania.

Rektor rozpoczął od końca klasy.

— Pisziesz bardzo złe zadania Marius! Cóż tu znowu dziś popisał za nonsensa?! Posłuchaj sam: Jeżeli porównuje się Norwegję z Danją, to widzi się ogromną między tymi krajami różnicę. Norwegja jest górzystą, Danja zaś stanowi płaszczyznę. Norwegja jako kraj górzysty posiada przemysł górniczy, czego Danja nie ma. Oprócz tego kraj górzysty ma zawsze doliny... To wszystko prawda, zupełna prawda, ależ czy sądzisz że potrzebnem było opowiadać nam to? To wszystko takie niedojrzałe, takie strasznie niedojrzałe! — dodał rektor smutnie, przechadzając się po klasie.

— Ależ jak tu okropnie gorąco! — zawołał znów i przechodząc koło Mortena pociągnął go za ucho. Następnie czytał dalej zadanie: — „Norwegja w górach swoich ma dzielną obronę na wypadek wojny. Armaty nie łatwo dadzą się przez Kjoeln przetransportować, szczególnie w zimie.“ — Kłóż by znów chciał z armatami przechodzić przez Kjoeln? Czyliż Szwedzi nie są nam braćmi i przyjaciółmi? Chwałę sobie to co inny z was napisał, że życzyby należało, żeby Kjoeln ustąpił, by zbratane narody lepiej zmieszać się mogły ze sobą. Kłóż to napisał?

— Ja — odezwał się primus skromnie.

— Tak, to ty byłeś Broch, uwaga twoja jest bardzo dobra. Marius natomiast widzi wszystko z wojennej strony. Słuchaj dalej. „Jeżeli się obydwie narody ze sobą porównuje, widzi się że Duńczycy są znacznie więcej zniewieściali od Norwegczyków.“ Cóż to ma znaczyć? — zawołał rektor gniewnie, skrobiąc się w głowę. Gorąco w klasie dochodziło już 30 stopni. — Kilku z was wspomniało w zadaniu o zniewieścialsoci Duńczyków, na cóż to? Jest to bez wątpienia ładnie kochać swoją Ojczyznę, ale patriotyzm staje się wielkim błędem, skoro przeradza się w dumę narodową, tak, że się z góry patrzy na inne narody, a kocha tylko własny. Mianowicie jest to śmiesznem u biednego małego narodu jak nasz, który wistocie niewiele chlubnego o sobie powiedzieć może.

Brocha znakomite zadanie nie zostało odczytane, gdyż gorąco stało się tak dokuczliwem, że rektor w rozpaczy otworzyć kazał drzwi i okna, a kiedy skutek tego powstał okropny przeciąg, kazał wszystkim uczniom zejść na podwórze: tylko Morten za karę pozostać musiał w klasie. Deszcz ustał, ale zimny wiatr i błoto przeszkadzały ucieczce uczniów z długiej pauzy. Mały Marius drżał przed lekcją arytmetyki, bo według wszelkich ludzkich obliczeń, dziś musiał być pytany. Abraham pomagał mu, a Marius oświadczył, iż zrozumiał zupełnie. Wistocie niektóre rzeczy pojał był jako

tako. Ale mimo to obawiał się, że skoro tylko stanie przed dużą czarną tablicą, nie potrafi uprzytomnić sobie, co znaczy $\frac{1}{2} \times \frac{1}{2}$.

Nauczyciel Abel tańcząc wszedł do klasy, okna natychmiast zamknięto. Nauczyciel płaszcz miał przewieszony przez ramię i śpiewał pod nosem, co było pewną oznaką dobrego humoru. Dla Mariusa nie stanowiło to jednak żadnej pociechy, bo pan nauczyciel, kiedy był w dobrym humorze, lubiał drażnić się z chłopcami.

Nauczyciel Abel był kawalerem i między nauczycielami jedynym elegantem. Miał pewną dumę w zadziwieniu swoich aż nadto skromnie ubranych kolegów, najoryginalniejszymi ubiorami, to jakąś czerwoną nakrapianą krawatką, to jasnymi pantalonami, to znów jak teraz białym płaszczem, z gutaperki. Wszyscy koledzy obmacywali i obwąchiwali płaszcz, wszyscy zgadywali cenę.

Jako nauczyciel miał on następującą zasadę: „Ludzie podzielić się dają na dwie klasy; tacy którzy mogą nauczyć się matematyki i tacy którzy tego nie mogą, ja zaś w ciągu miesiąca podejmuję się orzec, do której z tych dwóch klas należy każdy uczeń“. Wskutek tej teorii udawało mu się chłopców uzdolnionych do matematyki doprowadzać bardzo daleko, o wszystkich innych nie troszczył się wcale.

Nauczyciel Abel, uderzywszy kilkakrotnie jedwabną chustką po katedrze żeby otrzepać ją z pyłu, usiadł i wydobył notatki. Marius trząsł się ze strachu.

Usłyszawszy że wywołany został Broch, Marius nie ufał prawie uszom swoim, zdawało się że Abel zamyslał zaczynać dziś od najlepszych. Niedawno temu rozpoczęto zrównania pierwszego stopnia z jednym X, a Marius z uwagą śledził sposoby i przykłady znajdowania tego X. Słyszał jak mówiono, że już je znaleziono i jak je na tablicy wykresłano, ba nawet wszystkie przykłady zanotowane miał w swojej książce, a przecież to X pozostało dla niego ciągle obcem i dalekiem. Zachowywał to X. zawsze w pamięci; widział jak gnano je z wiersza do wiersza jakby lisa, za pomocą różnych mnożeń, skracań, ułamków i innych szaleństw, dopóki biedne znięczone zwierzę nie znalazło się całkiem samo po lewej stronie, a wtedy okazywało się, że to straszne X, nie było niczem innym, jak całkiem spokojną liczbą n. p. 28. Z wielką biedą rozumiał wreszcie Marius, że X w różnych przykładach, różną mieć mogło wartość. Ale na-cóż w ogóle było całe to X? Na co cała ta krętanina? Po co godzinami całymi uganiać się po tablicy za tem X, które wreszcie nie znaczy nic

więcej jak na przykład 28 — a może nawet tylko 15? Tego w istocie nie umiał Marius zrozumieć.

Mimo to wydobył tekę i odpisał wiernie całe zadanie, zadane Brochowi do obliczenia.

— „Pytagorasa zapytano ilu też ma uczni? Na to odrzekł mędrzec: — Połowa moich uczni studjuje filozofję, trzecia część matematykę, a pozostali którzy ćwiczą się w milczeniu, razem z tymi trzema którzy zgłosili się do mnie niedawno, wynoszą czwartą część tych, których miałem przedtem. — Ilu uczniów miał więc Pytagoras, zanim zgłosili się trzej ostatni?“

— Ba, któż to może wiedzieć — pomyślał Marius, zadowolony że siedział na swoim miejscu. Podczas kiedy Broch natychmiast rozrzucił się po tablicy X-ami, $\frac{1}{2}$ i $\frac{1}{4}$, X-ami, Marius zagłębił się w myślach nad tą trudną kwestją. Mianowicie tracił głowę czytając słowo „przedtem“ to wypośrodkować było przecież wręcz niemożliwem. Następnie w myśli z politowaniem zwrócił się do tej trzeciej części, która uczyła się matematyki i wnet przyszedł do wniosku, że znacznie by wołał należeć do owej reszty, która ćwiczyła się w milczeniu. Ze snów tych niemile zbudzony został wywołaniem swego nazwiska. Nauczyciel albo zauważył jego zamyslenie, albo też przypomniał sobie że go już dawno nie pytał. Kazał Brochowi przerwać — za łatwe zresztą dla niego zadanie — a kiedy Marius zjawił się przy tablicy, zobaczył całe szeregi X-ów, o których nie a nie nie wiedział, oczy jego wlepiły się tylko z przestachem w $\frac{1}{3}$ X, co wyobrażało mu tych biedaków oddających się matematyce.

— Nunc, parvulus Madvigius, quid tibi videtur de matrimonio?“ — zawołał wesolo profesor Abel. — Dla ciebie takie pytanie, to bagatela, ty znasz wszakże Pytagorasa, mały Madvigu? Pytagoresa qui dixit se meminisse, gallum fuisse? Proszę pana profesora Magviga, niech się pan nie żenuje. Widzisz przecie że zadanie prawie gotowe. Broch zanim odszedł, powiedział jak je skończyć. A może pan profesor nie raczył uważać? Mój drogi, powinieneś pamiętać, żebyś nie zarepetował klasy ze względu na swoją matkę.

Marius zwrócony twarzą do dużej tablicy umieszczonej na środku klasy, czuł jak śmiech i drwiny kolegów formalnie kłuły go w plecy. Skoro jeszcze usłyszał nazwisko matki, uczuł lzy gorące spływające mu po twarzy i zrezygnował z wszystkiego.

Cała klasa, to jest wszyscy którzy cokolwiek rozumieli z matematyki, znajdowali tę scenę bardzo zabawną, bo nauczyciel przy pytaniu tak zwa-

nych „niemych“ to jest tych którzy nie nie umieli, bywał zazwyczaj bardzo dowcipnym. Abraham tylko złościł się że śmiało się z jego przyjaciela i że Marius czasami bywał taki głupi.

— Musimy oglądnąć się za pomocą dla niego — rzekł Abel. — Ty Morten idź do tablicy i pomóż swemu bratu po duchu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Adam Mickiewicz

jako rewolucjonista.

(Dokończenie.)

Pismo Mickiewicza było organem szczerze ludowym, socjalnym. Stanowisko jakie w kwestji ludu wiejskiego zajmował, rozwinął poeta w trzech artykułach wstępnych. (Tribune des peuples. Politique generale 1. mai 1849 ff.)

Chłop Mickiewicza nie jest podobnym do tej urojonej istoty, do której adresowane są okólniki księży i rządów, tak jak Rzeczpospolita jego nie jest tym potworem, którym reakcjonariusze straszą ludność, Mickiewicz wie dobrze, że chłop nie ogląda się na inteligencję, że szuka rady i pomocy w sobie samym, atoli wobec różnego kalibru wsteczników, którzy go wikłają i wciągają w matnie, uważa za konieczne otwierać mu oczy. Przestrzegał go więc w przeddzień wyborów majowych, aby im nie ufał, przestrzegając ich zwłaszcza przed ludźmi z urzędu pobożnymi. Każdy obywatel — mówił — powołany do wotowania niech idzie za głosem swego własnego sumienia za głosem ludu który Bywa głosem Boga. Niech wybiera na swych reprezentantów chłopów, albo ludzi ściśle połączonych z życiem wiejskim, takich, jak oni sami, stróżów polnych, nauczycieli szkółek, lub proboszczów, prawdziwych chrześcijan. Jak zawsze uważał on wykształcenie za rzecz podrzędną, najważniejszą był u niego charakter, pojmował jasno że obóz mający za sobą tylko inteligencję i naukę musi być pokonany zdrowym rozsądkiem i zapalem klas pracujących. Wiedział to i rozumiał, ponieważ żył w duchu i w czynie z ludem a nie jak inni demokraci w krainie abstrakcji. „Wierzę że kochasz lud — mówił do jednego demokraty w żółtych rękawiczkach — ale lud nie zna Ciebie nigdy nie żyłeś jego życiem moralnem i duchowem.“ (Adam Mickiewicz przez Edmunda Fontille str. 100). Popędzając lud francuski do rewolucji nie popychał go Mickiewicz do anarchji, lecz służył

z całego serca jego sprawie i budził go przy każdej sposobności.

Gdy zarzucano ludowi niewdzięczność, twierdząc, że wywraca swoje bożyszcza dzień przedtem uwielbiane, on przypominał tym bożyszczom zobowiązania względem ludu, których nigdy nie dotrzymywali. Lud francuski mówi do tego, któremu udziela zaufania swojego: „Uwolnisz mnie z moich nędz, pogruhoczesz kajdany uciśnionych, nie zawrzesz ugody z ludźmi przeszłości, pod tym warunkiem oddaję ci moje mienie, moje dzieci, moją krew“. Lud dotrzymał wszystkich swoich zobowiązań, lecz ci panowie obietnie swoich nie dotrzymali, za tę zdradę zemścił się lud, cofnął swą potężną rękę i pozwolił im upaść.

Trybuna ludów była organem demokratycznym, czy była jak przeważna część współczesnych pism demokratycznych pismem socjalistycznym i do jakiego stopnia, oto pytanie na które mamy odpowiedzieć. Poglądy społeczne Mickiewicza z tego czasu były dziwną mieszaniną sęsimonizmu i chrześcijańskiej mistyki z ideami rewolucyjnymi, ale te ostatnie górowały. Socjalizm jego nie chce obalić porządku publicznego w zasadzie, ani też nie jest nieprzyjacielem władzy sprawiedliwej wykazuje on tylko że w starym społeczeństwie nie istnieje żadna prawie posada, na którejby można zbudować władzę, stosowną do potrzeb dzisiejszej ludzkości. Na zarzuty wytykane jego socjalizmowi, przybierającemu wrzekomo ujemny tylko kierunek, odpowiada obroną niestety potwierdzającą tylko słuszność owych zarzutów. Socjalizm ten jest wyrazem tylko przeczucia tego, co jest niezupełnem, chybnem, anormalnem, co jest nie- szczęśliwem w naszym życiu, bez jasno wytkniętego jednak bez dodatniego i aż do szczegółów przeprowadzonego programu. „Uczucie socjalizmu — powiada on — jest połotem ducha naszego ku bardziej błogiemu istnieniu, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu i solidarnemu, jest to nowy zmysł, który duchowa natura ludzka zdołała stworzyć w sobie, jest to nowo obudzona namiętność“, ale zaraz dodaje uczucie socjalizmu nie stanie się czynem i prawdą aż się odezwie w duszach patryjotów i ludzi szczerze religijnych. Pod to ostatnie pojęcie nie podpisałby się już żaden z ówczesnych demokratów. Nadomiar sprzeciwia się ono poniekąd własnym jego nawoływaniom wszystkich osobników i całych państw do poświęcenia swych praw uczuciu, noszącemu w sobie zarodek dogmatu powszechności.

Mickiewicz wyraża się z wielkiem uszanowaniem o „mistrzach socjalizmu“, przyznaje się do „studjów“ nauki, która ma już swoich

apostołów, swoich męczenników i swoją historję. Nie zawsze jednak idzie drogą przez nich utartą. Furieryści i Prudhoniści są zdaniem jego, „reprezentantami tylko sił fizycznych, brutalnych“. (Memorandum dla Napoleona III). Socjalistów, domagających się podziału majątków t. z. „Partagen“, zalicza do gatunku najgorszego komunizmu, a mianem tem obdarza także „reakcjonariuszów z ulicy Poitiers“. Zarzuca ówczesnym socjalistycznym posłom — i w tem ma wiele słuszności — że zamiast działać, apostołują tylko na sesjach zgromadzenia narodowego. Od urzędowego obrońcy socjalizmu, jakim był uczeń Furiera Considerant, domaga się praw, planów wojennych albo budżetowych a nie teoryj uniwersalnych. W chwili — powiada poeta — kiedy wyprawiają flotę, aby podnieść na nowo władzę papieską, której ofiaruje pomoc Austria, reprezentująca reakcję wśród krajów słowiańskich, w chwili tak groźnych przygotowań, słuchają spokojnie mowcy socjalistów, broniącego z przekonaniem i wielką zdolnością zasad przeciwnych papieżowi i monarchizmowi. „Niech gada! niech gada ciągle, kiedy my tymczasem działamy — mówili po cichu członkowie większości — on niech daje socjalistom obłoki teoryj a sami trzymajmy się stałej i twardej ziemi, t. j. fortec, krajów i kapitałów“.

Tymczasem ludy włoskie i słowiańskie, ówczesny materiał dla socjalistów, powtarzają ciągle: „Niebo (to jest teorie socjalistyczne) jest za wysoko od nas, Francja (mowcy socjaliści) za daleko, a Radecki i system Barrota są przy nas i przeciw nam.“ Lekceważąc takich rzeczników widzi Mickiewicz w fermentacji socjalizmu siłę żywotną naszych społeczeństw, skąd popłyną nieomylnie przyszłe niebezpieczeństwa.

Kiedy reakcyoniści potawieńskiego klubu myślicieli o projekcie domów dla robotników (cites ouvriers) w nadziei, że w takim gatunku koszar można będzie nie tylko łatwo wpływać na robotników, ale w razie potrzeby zamknąć ich pod klucz. Mickiewicz nie domyślając się pobudek tego dzikiego pomysłu i sądząc że już naprawdę zapewniają robotnikowi swobodne oddychanie powietrzem zdrowem, wystąpił z odezwą do ludu, aby dar ten Daneów odrzucił. „Duch rewolucyjny i socjalny — były słowa jego skierowane do ludu francuskiego — zmusił kapitalistów do tego, aby zajęli się wreszcie dobrobytem robotników; było to następstwo wydarte egoizmowi podstępem ludzkości, ale nigdy owocem miłości chrześcijańskiej, jest tedy obowiązkiem robotnika każdego żyć w sobie i rozwijać na zewnątrz tego ducha który utworzył te zakłady. Jeżeli robotnicy dadzą się

ująć tym umizgom materialistów, którzy ich chcą brać pod swoją opiekę, jeżeli się zadowolnią swą dola cokolwiek polepszoną i zechcą się oddzielić od powszechnej sprawy proletariatu będą podobne do tych ludzi opozycji, którzy zostawszy dygnitarzami płatnymi lub ministrami, wypierają się potem tych uczuć, którym winni swoje wysokie miejsca.

Mickiewicz nie mógł w artykułach wstępnych dziennika rozwinąć całego systemu ustroju społecznego, może go i nigdy nie obmyślał. Poglądy jego nie mają też naukowej wartości, zasługują one na uwagę jako wyraz radykalizmu u potulnego dotąd ojca Lamenistów polskich, który teraz ognistym nieczem słowa i całą powagą imienia swego podpierał sztandar rewolucji socjalnej. Na pierwszym planie stały zawsze u niego sprawy zewnętrzne, zadania żywotne, po których nastąpić miały później wewnętrzna gospodarka. „Kiedy Węgry — pisał tu — zdobędą swoją niezależność, kiedy Galicja odwali swój kamień grobowy, kiedy odrodzą się Niemcy i Włochy — na koniec kiedy wszystkie ludy wolne jedne przez drugich i jedne dla drugich, ogłoszą jedyny i prawdziwy, święty alians, „święty alians ludów,“ wtedy pierwsza połowa dzieła narodów będzie dopełnioną, wtedy razem wszystkie ludy zajmą się i drugą jej częścią, może najtrudniejszą: jak podzielić i zastosować do pojedynczych osób szczęście zdobyte wspólnymi siłami. Ale do tej chwili trzeba unikać starannie w demokratycznym stronnictwie wszelkich sporów, sprzeczek mogących nas rozdzielać wobec wspólnego nieprzyjaciela“.

Wobec wielkiej doniosłości ruchów rewolucyjnych we Włoszech i na Węgrzech, poruszających wówczas ludzkość całą, wydawały mu się błahemi rozprawy o bankach hipotecznych, o kredycie ruchomem, o syndykatach rzemieślniczych i urządzeniu gmin wzorowych, natomiast gorąco występował przeciw tym referentom, którzy swój system połowiczny przeprowadzić chcieli w zupełnym spokoju nie obrażając nikogo. Sami przecież przynajmniej — mówił do nich — że świat się dzieli dzisiaj na niewolników i ciemnocywili, a pragniecie go uszczęśliwić wprowadzając harmonję między złem a dobrem. Chcecie, aby ci, co niemiłosiernie wyzyskują innych, ulegli ścisłości waszych argumentów, kiedy się oparli tak przeważnie wysileniom i poświęceniom tylu pokoleń.

Rewolucjonista zagrzewał Włochów i Węgrów wszystkich powstańców do otwartej nieublaganej walki przypominając im że nie wojna lecz bezwładność i obojętność jest największą zbrodnią przeciw Ojczyźnie. „W rewolucji — powiadał —

trzeba być rewolucjonistą“ inaczej wypadek musi być nieochoyby. Przekonają się republikanie że gdyby nawet z największą działali oględnością stronnictwo wsteczne nie przestanie ich traktować jako nikiemników i rozbójników. W oczach ministrów zaś, feldmarszałek Radecki, który rabuje Włochy, rozstrzeliwa i rozkazuje mordować, będzie zawsze godnym przedstawicielem wyobrażeń porządku i prawości.“

Dlatego sprzeciwiał się dążeniom socjalistycznym redakcji „La Democratie pacifique“ domagającej się pokojowego załatwienia kwestji socjalnej, dlatego też wzywał Considerenta, aby zwinął pokojową chorągiew i wywiesił sztandar rewolucyjny, dlatego rzucał się „czerwony radykał“ na wszystko, co w stanowczych chwilach działania okazywało się chwiejnym, małoduszmem, niezdolnem do energicznego użycia wszelkich środków w celu ustalenia wolności ludów.

Przedewszystkiem zaś uderzał taranem swej piorunującej wymowy w restaurowane mury „starego porządku“, na legitymistów, urzędowych republikanów i w szerszenie gniazda wstecznej polityki. Jak w „Pielgrzymie“ piętował zgraję zauszników Filipa nazywając mowy juste milieu rykiem i skowyleniem, tak teraz naturalnym ich spadkobiercom nie szczędził podobnych epitetów. Za każdym nowym czynem wstecznym ministerstw, po każdym objawie kłamliwym izby rojalistowskiej, za każdym płaskim pochlebstwem dostojników odzywał się na mownicy ludowej krzyk bóleści, oburzenia i wzgardy. Piekłem były dla niej i sojusze Francji z papieżem jako monarchą i związki z Austrią, ciemniczynią ludu — ze wszystkimi opierającymi się na „status quo“ na katolicyzmie urzędowym; piekłem była frakcja, która wypędzona z Tuilerii przez lud panowała w pałacu Elizyjskim i upatrywała w szlachetnych dążeniach ludu, w jego rozpaczliwych porywach proste rozboje i spiski klubowe.

Rajem w szlachetnym jego przekonaniu były powszechnie prawa obywatelskie, rozwinięte swobodnie narodowości, izby mianowane przez lud, zupełna wolność druku, jednym słowem wszystko co stanowi nowe życie polityczne. Wiedziony trafnym instynktem politycznym, zwróconym w fizjognomię ludów dopatrzył się w sieci ówczesnej dyplomacji europejskiej, nici jednej i tej samej przędzy.

Solidarność — pisał z Trybuny — panuje pomiędzy wszystkimi gabinetami i parlamentami. To co zamierza cesarz rosyjski, tłumaczy to cesarz austriacki, wyraża to w swych notach gabinet londyński, ministrowie francuscy przejmują się tem

do żywego a kongres nie omieszką to wszystko wykonać.

Na papieża (Piusa IX.) ciska gromy potępienia i nazywa go „szatanem rewolucji“. Nie przyznając z zasady głowie kościoła władzy monarchicznej, cieszy się z tego, że „bezbżność“ włoska pozbawiła papieża pulków i dyplomacji, że uwolniła lud Rzymski, przywiązany do skiby dóbr papieskich, od wysokich opłat i ciężarów na podniesienie dworu papieskiego. Świętopietrze piętuję jako dzieło egoizmu, które dla uposażenia nunejuszów zabiera ostatni grosz tysiącom Irlandczyków, umierającym z głodu i trzeciej części ludności paryskiej, tej Irlandji francuskiej. Dostaje się przytem dobrze uposażonym prałatom i wielkim posiadaczom beneficjów kościelnych, żądającym od swych poddanych poświęcenia godności ludzkiej oraz całopalenia praw i wolności dla podniesienia „splendoru kościoła“.

Poeta - rewolucjonista nie szczędził stronnictwa i pism konserwatywnych, zwłaszcza „Presy“ Emila Girardin, tej liberalistki w teorii a wsteczniczy w czynach, piętował też kapucyńskie artykuły „Konstytucjonela“ czeze deklamacje „Journal des Debats“ ale za wszystkich zacofańców pokutował w Trybunie klub z ulicy Poitier „ten wrzód na ciele Francji“ który Hogardowski pędzel poety świetnie odmalował. Filozofowie szkoły Woltera, żydzi bankierzy i synowie bohaterów krucjat, rozdzieleni dotąd jedni o drugich religijnymi uczuciami, przegrodzeni przekonaniem politycznem łączą się razem znajdując we wszystkim wspólny dogmat — interes. W ich przybytku znalazły się wkrótce wszystkie odcienia dawnych parlamentarnych stronnictw. Zwolennicy Guizotta ocierają się o zwolenników Thiersa; falanga Odillona-Barrot mieszała się z fałszywymi rewolucjonistami, radykałami Nationala. Można tam było napotkać i legitymistów, fałszywych socjalistów, Bonapartystów. Jednym słowem znalazły się tam wszystkie sekty Orleanistów, konspiracyjne bezustannie przeciw społeczeństwu francuskiemu. Noc komitetu, chlód bankierów, nicość adwokatów składających go, przeobraża się w propagandę duchową, religijną i socjalną zakomenderowawszy książki i broszury anti-socjalne — Orleanizm jest doktryną. Poatewęczycy są jego czcicielami zapychają wszystkie drogi prowadzące do władzy, trzymają rząd w oblężeniu. Jedyne ich wysileniem tworzyć kłopoty ludziom, co rządzą, aby inni oddali na pastwę wszelkie urzędy, sposób nęcenia na giełdzie i budżet.

Surowy i bezwzględny w filipice nie posuwa się w niej Mickiewicz aż do zaciekleści stronni-

czej, obrzucającej błotem osobistości, charakter przeciwnika. Ministerstwu Barrota i arystokracji lombardzkiej „ludziom najszkodliwszym sprawie publicznej“ przyznaje chętnie bezinteresowność i nieskazitelność charakteru.

Ale przy swoich zasadach stoi silnie zaznaczając w każdej kwestji swoją rewolucyjną wiarę. Podnosi rewolucją zwłaszcza ludową do ideału, ostro nastając na zniżających ją do walki o mienie, o chleb. Kłamstwem jest — powiada — że rewolucja jest tylko między tymi co mają, a tymi co nie mają. Wojna ta szlachetniejszą jest w swoich doktrynach świętszą w swoim celu, bo ona jest walką ludzi wolności przeciw ludziom despotyzmu, bo jest wojną połączenia ludów przeciw zasadzie: „dziel, aby panować.“ Święta to jest wojna, powiedzieliśmy, bo nie materialistycznego zarzucić jej nie można. Na próżno starają się zamącić sumienia co do jej celu. Cel ten jak jaśniejąca morska latarnia ściąga na siebie oczy ludów, kierują one ku niej swe myśli oczekując jak będą mogły razem ku niej szybkim ruszyć pochodem, bo ten cel, nie możemy tego dosyć powtarzać, jest połączenie ludów dla zgotowania wspólnego szczęścia.

Zdemoralizowanie, zmateralizowanie rewolucji przypisywał spółce bezinniennej reakcjonariuszów a zwłaszcza agentom dyplomatycznym francuskim. Przeciw dyplomacji wogóle występował poeta jeszcze w „Pielgrzymie“ teraz nakazuje poprostu aby każdy naród, prowincja czy miasto, wyprosiły od siebie wszystkich dyplomatów z ich biurami i z całą służbą, rozpoczynwszy od dyplomatów francuskich... Jeżeli te i tym podobne czynności rewolucyjne zawsze rozpoczynał od Francuzów, to dla tego że Francją uważał za główną kwaterę rewolucji, mającą poruszać Europę forpocztami armji rewolucyjnej w Frankfurcie, w Wiedniu i w Berlinie.

Konserwatywne pisma polskie ubolewały naturalnie nad tem obłąkaniem wieszczki polskiego, zwłaszcza jezuicki „Przegl. poznański“ żegnający się krzyżem świętym przed jego komunizmem wylewał łyżki krokodyla nad zbłąkaną owieczką, która z taką na nieszczęście zapamiętałością nad powiązaniem sprawy polskiej ze wszystkimi radykalnemi w Europie sprawami pracuje, że dziś trudno najprzychylniejszych nawet Polsce przekonać, jako Polacy w swoich własnych usiłowaniach a nie od powodzeń rewolucji europejskiej przyszłość swoją zależną robią. („Przegląd poznański“ r. 1849 IX. 678). Lecz Mickiewicz nie oglądał się na takich przeciwników. On wierzył w zwycięstwo swej idei i w gwiazdę Napoleońską.

Bardzo charakterystycznym to rozszerzenie napoleońskiej apoteozy u poety. Dawniej był Napoleon

uważany za zbawcę narodu polskiego, w okresie Towianizmu awanzuje na mesjasza ludzkości a w epoce rewolucji wyobraża „rewolucją zwycięską w całej swej potęgde“. Prezydent rzeczypospolitej a potem smutnej pamięci cesarz francuski jest w jego oczach jakimś rewolucyjnym naczelnikiem czy dyktatorem ludu, który wyzwoli całą ludzkość — zapomocą rewolucji powszechnej...

Gdy z początkiem czerwcowych rozruchów przebiegał dziennik coraz groźniejszy charakter, (zob. kartaczone artykuły Trybuny z d. 12. i 13. czerwca 1849) został razem z kilkoma innymi organami rewolucyjnymi z rozkazu rządu zawieszony a odpowiedzialny redaktor (Carpentier) uwięziony. Stało to się głównie z powodu „Deklaracji do ludu francuskiego“ umieszczonej podobno bez wiedzy Mickiewicza. Jak się bowiem okazuje z listu Mickiewicza do Godebskiego (z dnia 18. sierpnia 1849 r.) nie sięgał poeta tak daleko jak jego koledzy francuscy, w ostatnim artykule wstępny wypierał się nawet zarzutów, jakoby dziennik jego popychał ludność paryską do rozruchów. Po czterech dniach zaciętej walki i zwycięstwa monarchistów nastąpiły jak wiadomo najokropniejsze paktowania się nad ludem i rewolucjonistami. Przez ten czas, od połowy czerwca aż do września niewychodziła „Trybuna“. Gdy 1. września uchylono zawieszenie dziennika, brali w nim jeszcze udział Polacy do połowy października, a Mickiewicz napisał jeszcze jeden czy dwa artykuły. Lecz położenie rzeczy coraz bardziej się pogorszało. Nieprzewidziane nieszczęścia zaczęły uderzać kolejno w narody, których sprawę „Trybuna ludów“ broniła. Rząd francuski zdecydował się w swej polityce wystąpić stanowczo przeciw propagandzie rewolucyjnej, położenie cudzoziemców zbiegłych do Francji zostało obóstrzonem, gwałtowne kroki przedsięwzięte zostały przeciw rewolucyjnemu organowi emigracji. Fale reakcji były już tak, że mocarstwa zachodnie, którym „Trybuna ludów“ była solą w oko, żądały zupełnego jej zwinienia, czego rząd francuski mimo szczerej chęci prawnie nie mógł uczynić. Zagrożono tylko emigrantom wypędzeniem ich z Francji, gdyby dalej pisywali w „Trybunie“ hr. Branicki cofnął swój zasilek i dobił całą sprawę. W takich okolicznościach uznał Mickiewicz za stosowne usunąć się z widowni politycznej, za nim poszli wszyscy Polacy należący do redakcji i dyrekcji „Trybuny“.

W ostatniem oświadczeniu z d. 16. października 1849 r. usprawiedliwiającem ustąpienie Polaków, widzisz pokonanego trybuna ludów, składającego jak zawsze z całą szczerością broń swoją na — zawsze... Od chwili — są ostatnie jego słowa

— kiedy nam zaprzeczono prawa waleczenia otwarcie za sprawę ludów czujemy, że jest naszym obowiązkiem usunąć się od walki... Prowadzić ją pokątnie byłoby nie tylko ubliżeniem charakterowi własnemu ale i ubliżeniem uszanowania dla praw Rzeczypospolitej dla najwyższego urzędnika obowiązane go do ich wykonania.

Dr. H. Biegeleisen.

Pogląd na obecny stan nauki o szczepieniu ochronnem chorób zakaźnych ludzkich i zwierzęcych podał dr. J. Szpilman.

(Ciąg dalszy.)

Po nieudanych próbach Klebsa, który wspólnie z Tomasi, Grudellim miał wykryć bakterje ziemnicy w postaci delikatnych prątków czyli laseczek, danem było dwom włoskim badaczom, Marchiafava i Celli wykryć właściwy tej chorobie zarazek w postaci bryłek jednostajnej pierwszocy, uposażonej ruchem amebowym. Twory nazwane przez nich „Plasmodium Malariae” znajdują się zawsze w ciątkach czerwonych krwi wziętej z ludzi dotkniętych ziemnicą: że ta choroba jest zaraźliwą przekonali się powyżsi badacze wywołując wstrzykiwaniem krwi wziętej z ludzi chorych też samą chorobę u ludzi zdrowych. Ziemnica więc jest chorobą contagijną, której zarazek (contagium) jest istotą stałą, żyjątkiem.

Podobnież i u roślin pierwszyczaki powodują choroby zakaźne. Przyczyną jednej z pasorzytniczych a długu zagadkowych chorób kapusty jest według Woronina pasorzyt do tejże samej kategorii należący a nazwany przez niego Plasmodiophora brassicae.

Ze przyczyną chorób zakaźnych są istoty żyjące, nie jest to zdobyczą i odkryciem najnowszych czasów. Już za czasów rzymskich znakomici pisarze jak Varro, Columella przypuszczali istnienie contagium vivum albo animatum. Po odkryciu wymoczków i plenników nasiennych coraz bardziej ustalało się mniemanie o pasorzytniczej naturze chorób zakaźnych. Bardzo fantastycznymi były wyobrażenia o przyrodzie chorób nagminnych w czasach średniowiecznych. Jeden z autorów 17 wieku całkiem na serio poleca płoszyć w czasie panowania pomorów zwierzątka unoszące się, według ówczesnego zapatrywania, jak szarańcza w powietrzu a uważane za przyczynę tychże chorób nagminnych, biciem z dział i odgłosem fanfar. Ze podobne mylne zabobonne pojęcia do dziś dnia się jeszcze między ludem

utrzymywały, dowodzi palenie stosów drzewa w czasie ostatniej epidemii cholery w południowej Francji i we Włoszech np. na ulicach Toulonu, Marsylii, Neapolu itd. w celu odwrócenia i szybkiego wytepienia tej zarazy. Przypuszczenie słynnego anatoma Henle'go, że niższe żyjątka (bakterje) powodują rzeczywiście choroby zakaźne, zyskało na wartości naukowej, skoro dla wielu chorób wykryto właściwe grzybki. I tak w r. 1835 Bassi wykazał, że przyczyną śmiertelnej choroby jedwabników, zwanej powszechnie pod nazwą „muscardino” jest rodzaj pleśni (Botrytis Bassiana); botanicy Tulasne, de Bary, Kühn stwierdzili, że bardzo wiele chorób zboża, ziemniaków i innych roślin powodują pasorzyty. Najważniejszym odkryciem dla nauki było wykrycie około r. 1848—50 zarazka wąglikowego (Bacillus Anthracis). Można powiedzieć, że niezależnie od siebie trzech uczonych Branell, Pollender i Davaine, wykazało w krwi zwierząt padłych na wąglik (Milzbrand) w niezliczonej liczbie bakterje w postaci mikroskopijnych laseczek czyli prątków o 0.005 — 0.020 milimetra długich a $\frac{1}{1000}$ milim. grubych. W ślad za tem Hallier prawie dla wszystkich chorób podał swoiste nibyto grzybki, doświadczenia jednak Halliera nie były przeprowadzone ściśle i dlatego jego odkrycia nie mają żadnej wartości naukowej. Znaczny postęp w tym kierunku zawdzięczamy badaniom Kohna, Klebsa, Naeglelego a w szczególności dwóm twórcom nowożytnej bakterjologii, Pastenrowi i Kochowi, którzy udoskonaliли metody poszukiwań bakterjologicznych i naukę bakterjologii na racjonalnych oparli zasadach. Zwłaszcza Koch i jego szkoła mają tu niespożyłą zasługę.

Drobnotwory będące przyczyną chorób zakaźnych zowieśmy chorobotwórcami czyli patogenicznymi dla odróżnienia od grzybków powodujących gnicie, kiśnienie (fermentację), fosforescencję itd. po części procesy mające znaczne zastosowanie w życiu codziennem. Z grzybków pożytecznych wymienimy na pierwszym miejscu drożdże, jako niezbędny ferment przy przyrządzaniu piwa, wina. Wyrób octu, kumysu (różdaj napoju alkoholicznego, przyrządzonego z mleka kobyłego), kiśnienie mleka, kwaszenie kapusty, ogórków — wszystkie te procesa powodują bakterje.

Zarodki grzybków (pleśnie i bakterje) znajdują się wszędzie w przyrodzie, w powietrzu, wodzie, powierzchniowych warstwach ziemi, a nawet w ustroju zdrowym ludzkim i zwierzęcym — zwłaszcza na powierzchni skóry, w jamie ustnej, nosowej, w przewodzie pokarmowym itd. W procesie trawienia bakterje gnilne odgrywają ważną rolę i przyczyniają się do rozkładu przyjętych pożywek, zwłaszcza węglowodanów i istot białkowych.

Za chorobotwórcy uważamy pewien grzybek wówczas, jeżeli znajdziemy go stale w sokach lub narządach ustroju chorego i to w ilości odpowiedniej do zmian wywołanych. Dalszą ważną wskazówką do oce-

nienia własności chorobotwórczych jest sztuczna hodowla i możebność przeszczepienia. Jeżeli pewny grzybek da się po za ustrojem na odpowiednim gruncie odżywcym czysto wyhodować a następnie jeżeli szczepienie czystą hodowlą wywoła u zwierzęcia tego samego rodzaju chorobę zupełnie typową i podobną do pierwotnej, to przeprowadzony został dowód, że znaleziony grzybek jest chorobotwórczym i że tenże pozostaje w ścisłym związku przyczynowym z badaną chorobą.

Badania tego rodzaju wchodzące w zakres bakterjologii wymagają nadzwyczajnej skrupulatności, ścisłości i przede wszystkim wielkiej wprawy technicznej i wiedzy fachowej. Przede wszystkim potrzebnym jest mikroskop dający silne powiększenie od 600 do 1000 razy i więcej. Skutkiem wymagań nowoczesnej bakterjologii udoskonalenie mikroskopów postępuje i dosięgło już prawie szczytu perfekcji. Przy badaniach tego rodzaju wymaga się wzorowej czystości; narzędzia i naczynia użyte do hodowli muszą być zupełnie wolne od wszelkich zarodków bakterji, co się osiąga już to przez wysuszenie lub ogrzewanie w suchym powietrzu przez godzinę lub dwie przy temperaturze 140—160° Cels. Proceder ten mający na celu zniszczenie wszelkich zarodków bakterji, zwiemy wyjałowieniem (sterylizacją).

Do hodowli bakterji używamy obecnie przeważnie odżywek stałych np. mięszanin wodnego wyciągu mięsnego z żelatyną, agar-agar (rodzaj żelatyny roślinnej) z innymi dodatkami np. cukrem, peptonem, niekiedy przeprowadzamy kultury na gotowanych ziemniakach (na których zwłaszcza prątki wąglikowe, nosaciznowe, bujnie się rozwijają), jajach itd. Na tych to odżywkach wysterylizowanych w gorącej parze przy 100.° C. jako na gruncie stałym zasiewamy w odpowiedni sposób płyn zawierający bakterje np. wodę, krew itd. Po 24—48 godzinach jak na grządkach stosownie do rodzaju nasienia rozwijają się kolonie różnych gatunków bakterji, które następnie osobno przesadzamy otrzymując w ten sposób czystą hodowlę poszczególnych gatunków. Każdy gatunek rozwija się we właściwy sposób, kolonie różnią się od siebie barwą, konturami, kształtem, tak że bakterjolog od razu pozna, z jakiej choroby bakterjami ma do czynienia. Jedne kolonie rozwijając się zagłębiają się w żelatynie, rozpliniając, inne wyrastają ponad jej powierzchnię. Grunt odżywczy stały, ma tę wyższość od płynnego, że na nim każdy zarodek rozwija się osobno, w płynie zaś gatunki się mogą mieszać i oddzielenie ich, izolowanie, jest utrudnionem. Jest to wielką zasługą Kocha, że polecił do hodowania bakterji podłoża (odżywki stałe), na których każdy gatunek bakterji stosownie do tego, gdzie padł jego zarodek, oddzielnie rozrasta się tworząc kolonię o właściwym charakterze. W ten sposób czysto wyhodowany grzybek może być badany co do jego własno-

ści chemicznych, biologicznych, np. jego rozwój, rozmnażanie się, oddziaływanie na termiczne, chemiczne czynniki itd.

Poddając np. przez dłuższy czas pewien grzybek chorobotwórczy działaniu wyższej ciepłoty (42° C.), tak osłabiamy jego zaraźliwość, że możemy go użyć do szczepienia ochronnego; studując zaś wpływ różnych odczynników chemicznych poznajemy własności tychże niszczenia bakterji. Zabicie bakterji (poniekąd osłabienie, wstrzymanie ich rozwoju) oznaczamy nazwą desynfekcji (odrażanie, odwietrzanie). Osiągnąć zaś to możemy w różny sposób — jużto zapomocą gorącego, suchego powietrza (140—160° Cels.), jużto zapomocą pary o ciepłocie 100° Cels., jużto zapomocą różnych chemikaliów. Do desynfekcji pościeli, bielizny itd., najlepiej się nadaje gorąca para o 100° C., która zabija bakterje w 10 minutach nie niszcząc tkanin czyli materji. Odwietrzanie wozów kolejowych używanych do transportowania zwierząt, bydła itd. odbywa się przeważnie za pomocą gorącej pary. Powietrze w przestrzeni zamkniętej np. w stajni, mieszkaniu z dobrym skutkiem możemy desynfekcjonować kwasem siarkawym, który otrzymujemy przez palenie siarki. Skutecznie stosować możemy w tym celu pary bromu, chloru (z chlorku wapna). Płyny odrażamy np. treść kanałów, dolewając do tychże surowy kwas karbolowy, siarkan żelaza (Einsenvitriol), chlorek wapna itd. Za najsilniejszy środek desynfekcyjny uważamy obecnie sublimat, który nawet rozpuszczony w wodzie w stosunku 1 : 5000 niszczy w przeciągu kilku minut zarodki najwytrzymalszych i najbardziej zaraźliwych bakterji, jakimi są zarodki (szpory) bakterji wąglikowych (Miltzbranddauer-sporen). Obecnie wyrabiają tak zwane mydło sublimatowe (mydło Geisslera), które powinno się w każdym domu znajdować i którem powinni sobie zmywać ręce tak lekarze jak i domownicy przystępując do badania lub obsłużenia położnicy lub też osoby operowanej: jakoteż odwietrzać swoje odzienie, myć twarz, ręce powinni wszyscy, którzy mieli do czynienia z ludźmi chorymi na ospę, szkarlatynę, tyfus itd., nini wejdą w styczność z ludźmi zdrowymi. Od sublimatu znacznie słabszeni są już od dawna stosowane środki, jak kwas karbolowy, salicylowy, tymol, benzyuna, alkohol itd., w których zarodki bakterji nieraz miesiącami jako zdolne do życia się utrzymują.

Obecnie znamy już bardzo wiele chorobotwórczych grzybków, które udało się czysto wyhodować i co do których przez szczepienie przekonano się, że są właściwymi zarazkami, wywołują bowiem po zaszczepieniu chorobę z pierwotną zupełnie identyczną. Z bakterji powodujących zarazy u ludzi znamy dokładnie prątek przecinkowy cholery (wykryty przez Kocha), prątek gruźlicy czyli perlicy (suchót), również przez Kocha wykryty, następnie bakterje tyfusowe jak spirillum Ober-

meyeri dla duru powrotnego i bacilli Eberthi dla duru czyli tyfusu brzuszego. Mniej dokładnie znamy są bakterje dyfterji, rzeżączki, ropnego jak i egipskiego zapalenia oczu, czerwonki kily (syfilis) i innych chorób wysypkowych, gorączkowych jak ospy, odry, szkarlatyny itd. Wątpić jednak nie należy, że w niedalekiej przyszłości w miarę postępu techniki mikroskopijnej i bakterjologicznej poznamy zarazki wszystkich chorób zakaźnych.

Z chorób stadnych (zakaźnych zwierzęcych) znanymi są zarazki czyli grzybki węglik (prątki, laseczniki węglikowe czyli karbunkulowe): nosacizny i tyleczaka (bacillus Mallei, przez Schütza i Löfflera wykryty): zgorzeli trzuszczącej Ranschbrand, wykryli (Cornevin, Arloing, Thomas): róży trzedy chlewnej (rouget du porc, Rothlauf der Schweine) której bakterje zbadali Pasteur i Schütz; cholery (zarazy drobiu), dalej dla perlicy u bydła stwierdził Koch, że choroba ta jest identyczną z gruźlicą (suchotami) i zolżani ludzi że z bydła może się przenieść a raczej udzielić ludziom mlekiem i mięsem. Te dwie ostatnie choroby wywołuje jeden i ten sam prątek (Bacillus Tuberculosis); tworzący trwałe zarodki, nadzwyczaj odporne. Gruźlica (suchoty, Tuberculosis) jest więc chorobą zakaźną, która rozszerza się między ludźmi skutkiem wdychiwania zasuszonych i sproszkowanych płwocin suchotników, co się tak dobrze na ulicy jak i w mieszkaniach zdarza. Połykanie płwocin z suchotników powoduje również gruźlicę, jak się o tem na kurach i innych zwierzętach karmionych płwocinami przekonano. Bardzo mało znamy zarazek choroby stadniczej u ogarów rozplodowych, zarazy pyska i racie, zarazy płucnej u bydła, zarazy świń, ospy u różnych zwierząt, księgosuszu itd. (Dokończenie nastąpi).

La Jacquerie.

Obraz Jerzego Rochegrossa.

Kraków, w styczniu 1887.

Gryzący dym zapelnia salę i wciska się przez szczeliny rąbanego pałacu. Przez ogromne okna padły kamienie. Pod łokiem cisnącej się tłuszczy nie wytrzymały szyby i wraz z ramami, z złowrogim dźwiękiem padły na szklącą się mozaikową posadzkę. Kobiety, co przed chwilą modły zanosily, zbiły się w kąt przeciwny. Tłuszcza pierwszy krok na pałacowej mozaice zrobiła — niosąc przed sobą zatknięte na jednej lancy — serce, na drugiej — głowę obrońcy... pana domu tego.

Tę scenę odmalował Jerzy Rochegrosse, młody malarz francuski. Prerażająca scena pełna grozy, lęku śmiertelnego z jednej, cynicznej brutalności z drugiej

strony, znalazła w autorze dzieła tego, znakomitego wykonawcę.

Pierwszy plan przedstawia nieszczęsną, napadniętą rodzinę. Oto matka tuląca dzieci: z po za niej wychyla się pełna wyrazu głowa staruszki z oczyma w niebo wzniesionemi, bliżej widza z przestachu nawpół martwa leży młoda dziewczyna, między niemi wznosi się postać pełna determinacji, w ekspresji aż do sztywności posunięta, postać poważnej matrony. Z tą figurą w psychicznym związku zostaje postać na wpół ragiego oprawcy, który w wybornie scharakteryzowanym ruchu niebawem skoczy na upatrzoną ofiarę. Zbydlęcone aż do przesady głowy chłopstwa wychylają się z okien; na uszaki okna wylazła i oparłszy dłonie o kolana wykrzywiła idyotycznym uśmiechem twarz swoją kobieta. Tłuszcza czeka na granolącą się w okna resztę bandy, za chwilę nastąpi mord, rabunek a luna pożaru pochodnią będzie pogrzebową. — Widz czuje tę grozę, dym obrazu w oczy gryzie, słyszy naigrzanie się chłopstwa i widzi drgające z piersi wydarte serce. — Linja kompozycyjna i równowaga, dwójga przed sobą stojących mas w wybornej zachowana mierze. Surowo i na wskrós realistycznie nacechowany kierunek, któremu artysta z widocznym pietyzmem hołduje, nadał się par excellence do sceny, która artyście za temat posłużyła i przyznać należy że to, co chciał przedstawić, to z całą uwydatnił plastycznością. Tyle co do kompozycji.

Krytyczny przykładając skalpel do technicznej strony obrazu, pod względem szkoły, trudnoby go dzi siaj pod specjalną jakąś rubrykę podporządkować. Nie jest on również pod względem techniki na wskrós indywidualnym — tak maluje mniej więcej cała ostatnia generacja wychowaućców paryskiej Akademii sztuk pięknych. Szerokie a może zbyt szerokie malowanie występuje tu ze szkodą linezji rysunkowej. Oliwkowo zielony kolor zabija karnację ciała a sztywność ruchów niektórych, (przedewszystkiem leżącej dziewczyny) z nadto przypomina używanego manekina. Artysta zbyt może gonił za wrażeniem, dlatego drugo planowe figury wydają się za małe — osiągnął jednak złudzenie, osiągnął głębię i powietrze. Marmurowa posadzka, w kawałki zdruzgotane okno, porzucane zabawki chłopięce, malowane są con amore. Również materje, aksamitna suknia na bohaterskiej matronie jak zielono-niebieska na leżącej dziewczynie zdradzają niepospolitego mistrza, któremu za obraz ten medal (prix du Salon) w r. 1883 przyznano.

Obraz ten wystawiony staraniem Towarz. przyj. sztuk pięknych w Krakowie w obszernych salach Sukien nie budzi jednak takiego zajęcia, na jaki istotnie zasługuje. Zwiedziło go od dnia 26. grudnia do dziś dnia t. j. 24. b. m. 2.109 osób. Dziś obraz znajduje się w drodze do Lwowa. Żadne z trzech tutaj wy-

chodzących pism codziennych, nie zamieściło oceny ani nawet kronikarskiej wzmianki o wspomnianem tem dziele. Natorniast jedno z pism zawiadania czytelników o wystawić się mającym w jednej z sal hotelowych (!) obrazie Suchorowskiego p. t. „Rozkoszne marzenia,“ który ponętnym tematem dzisiaj Warszawiakom głowy zawróciło. Vederemo!

Jacek Soplica.

RUCH KOBIECY.

Kobieta równie powinna strzedz swych praw, jak i powinności.

Eleonora Ziemięcka.

Zastęp pracujących kobiet wzrasta szybko z każdym rokiem niemal, to też zdobywają one sobie coraz nowe, korzystniejsze od dawnych, zawody zarobkowe. Brak szczegółowych danych statystycznych nie pozwala nam niestety ocenić w całej jego rozciągłości udziału kobiet w życiu społecznem. Pewne jednak, a nader ciekawe wskazówki w tym względzie znajdujemy w spisie jednodniowym miasta Warszawy z 1882 roku. Ze spisu tego przekonujemy się, że liczba kobiet przewyższa o wiele liczbę mężczyzn. Na 181.362 mężczyzn zapisano aż 201.602 kobiet, a więc o 20.240 więcej. Uderza nas w tem miejscu nader mała stosunkowo liczba kobiet, powołanych do pełnienia wielkich i świętych, a nader doniosłych w swych skutkach obowiązków rodzinnych. Na 138.557 dorosłych, wypada zaledwie 65.209 mężatek, czyli 72.943 kobiet w samej już tylko Warszawie musi zdobywać sobie samodzielnie warunki istnienia oraz łamać się z trudnościami życia. Nieubłagana wymowa powyższych cyfr, jest chyba najsilniejszym i najbardziej przekonującym argumentem do gruntownego a nawet fachowego kształcenia dziewcząt. W przeciwnym bowiem razie cały ten olbrzymi zastęp kobiet, pozbawionych tak zwanej naturalnej opieki, skazanymby był na życie z łaski, bez określonego zajęcia i celu, a zbyt cennymby chyba było dowodzenie, jak zgubne skutki wywołałby podobny stan rzeczy, zwiększający liczne szeregi materialnego i umysłowego proletariatu naszego społeczeństwa.

Przechodząc do wyszczególnienia zawodów, którym się oddają mieszkanki Warszawy, musimy wymienić na pierwszym zaraz miejscu służbę. 30.259 niewiast znajduje środki utrzymania w służbie kościelnej, szpitalnej i prywatnej. Zajęcie to jest tak mało korzystnem, że kobiety spotykają na tej drodze najslabszą konkurencję płci silnej, gdyż zaledwie 8.820 mężczyzn pracuje w tym fachu. Drugie miejsce z rzędu zajmują nauczycielki; w zajęciach pedagogicznych pracuje 1.309 kobiet, w nieokreślonych również 1.309, w służbie zdrowia 341, w sztuce i literaturze 320,

w miłosierdziu 203, w rzemiosłach wreszcie i handlu 13.575, z tych 4.076 w charakterze przedsiębiorczyń, 865 jako komisantki i buchalterki, a 8.634 jako robotnice. Przemysł dostarcza już dzisiaj warszawiankom bardzo szerokiego pola zarobkowania, gdyż pracują one aż w 101 zawodach, a mianowicie: krawiectwo damskie zatrudnia 3.614 kobiet, modniarstwo 1.470, pralnie 1.420, szycie bielizny 299, krawiectwo męskie 181, rękawicznictwo 232, kwiecjarstwo 486, przy wyrobach z nowego srebra pracuje 115, z tytoniu 225, we fryzjerstwie 104, szewctwie 96, w krzeslarstwie 76, w wyplataniu mebli 71, w pończosznictwie 57, introligatorstwie 56, parasolnictwie 37, w piekarniach 37, kamasznictwie 34, w zakładach bankierskich 14, grzebieniarnictwie 12, garbarstwie 12, drukarniach 10, w jubilerstwie 8, fotografiach 8, ślusarstwie 8, litografiach 6, browarach 5, blacharstwie 5, iglarstwie 3, szlifierstwie 2, i gwoździarstwie 2.

Do tych względnie zadawalniających faktów, musimy dodać ze smutkiem, że znaczna ilość żebraczek (415, gdy żebraków jest tylko 163) i utrzymywanych przez dobroczynność (1.217 kobiet, mężczyzn zaś tylko 638) jest bolesnym dowodem jak wiele pozostawia jeszcze do życzenia poziom tak ogólnego, jak fachowego wykształcenia naszych kobiet.

Tak było w r. 1882, od tego czasu jednak kwestja kobieca zrobiła znaczne i szybkie postępy. Wzmijmy parę przykładów. W 1882 r. w Warszawie był jeden tylko doktor medycyny kobieta, obecnie jest ich tam 5. W tymże roku uczęszczało do zakładów naukowych 5.805 dziewcząt, obecnie 9.462, a więc o 3.657 więcej, szwaczek i modniarek przybyło przez ten czas 3.594, w poźłotnictwie pracowały tylko 3 kobiety, obecnie zaś 30. Fakty powyższe dowodzą, z jakim gorącym zapałem i nieustraszonem mężstwem kobiety nasze wzięły się do pracy, jak głęboko zrozumiały pierwszą swą powinność, którą Eliza Orzeszkowa streszcza w następujących wyrazach: „Od słabości fizycznej, od braku sił moralnych na samoistne życie, od kłótni wiecznego niemowlęctwa i kalectwa, od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba winny się emancypować kobiety.“

Kronika ruskiego ruchu.

(Dokończenie.)

Ze wszystkich dzielnic Rusi najlepiej przedstawia się pod każdym względem wschodnia Galicja. Tu przedewszystkiem sama masa ruskiej ludności jest więcej rozwiniętą umysłowo i politycznie. Istnieją tu nadto liczne zawiązki szerszej organizacji. Są niemi mianowicie ruskie ludowe

czytelnie, których jest tu obecnie około 570. Ruskie ludowe czytelnie przedstawiają instytucje bardzo skomplikowane, zajmują się w nich bowiem nie tylko czytaniem ruskich gazet i książek i omawianiem ich treści, ale także odczytami, urządzaniem muzykalno-deklamacyjnych wieczorków, amatorskich przedstawień teatralnych, przyczem produkują się miejscowi śpiewacy i więcsy muzycy: nadto zajmują się czytelnie także ekonomicznemi sprawami i to przeważnie. To też z ruską ludową czytelnią nierozdzielnie połączone są: sklepiki chrześcijańskie, stanowiące po największej części własność gmin, gminne kasy pożyczkowe i szpichlerze. Wspomnianych sklepików ruskich będzie obecnie w Galicji do 300, tyleż prawie gminnych szpichlerzy, zaś kas gminnych pożyczkowych znacznie więcej niż samych czytelni.

Z największym zapadłem oddaje się ludność raska kultywowaniu śpiewu chóralnego. Na dowód dość będzie nadmienić na razie okoliczność, że wiejskich i małomiejskich chórów, jest obecnie w Galicji 250, mogących liczyć mniej więcej razem do 6.000 członków. Wszystko to śpiewa naturalnie z nut. Dla wykształcenia zdolnych dyrygentów chórów i dalszych krzewicieli śpiewu istnieje obecnie w Galicji kilka specjalnych prywatnych szkółek, a nadto aż 4 muzykalne wydawnictwa, a mianowicie: ks. W. Matiuika, ks. Kiprijana, gr. kat. seminarzystów we Lwowie i uczniów ruskiego gimnazjum — to ostatnie pod kierownictwem młodszego utalentowanego kompozytora, p. Ost. Niżankowskiego. Ze strony wiejskiej i małomiejskiej ludności wspomniani nauczyciele bynajmniej nie doznają zawodu, owszem ludność ta okazuje w tym względzie nadzwyczajną pojętność.

Umyślnie zastanowiliśmy się nieco dłużej nad ruskimi chórami dlatego, że kultywowaniu śpiewu między ludem, wszyscy bez wyjątku Rusini przypisują wielkie cywilizacyjne znaczenie. Jest to przytem kierunek, który już absolutnie z nieczyłej strony nie natrafia na trudności, jak to niestety powiedzieć trzeba o innych kierunkach działalności ruskich czytelni. Tak n. p. początkowo górował tu inny artystyczny kierunek, a mianowicie przedstawienia teatralne. Kierunek ten byłby dotychczas z pewnością rozwinał się bardzo, z korzyścią dla moralnego dźwignięcia ludności, gdyby nie smutnej sławy proces Olgi Hrabar i towarzyszy, w r. 1882, kiedy to ruska ludność, zgromadzona w czytelniach prawie przemocą, zepchniętą z tak z wspomnianego powyżej artystycznego toru. Oddał członkowie ruskich czytelni oddali się bardziej kierunkowi politycznemu, stanęli na straży politycznych praw wiejskiej ludności, naturalnie

po za obreębem czytelni. Dopiero w zeszłym roku podjęło na nowo dalszy rozwój teatralnych przedstawień, które jednak dotychczas przedstawiają się dość słabo, a to wskutek nawału zajęcia czytelni w innych kierunkach, mianowicie intelektualnym i ekonomicznym.

Ruskie ludowe czytelnie w Galicji okazały też już bardzo zbawienny wpływ na podniesienie ruskiej ludności na prowincji pod względem moralnym i ekonomicznym. Obejmują one jednak obecnie zaledwie $\frac{1}{100}$ całej ruskiej ludności w Galicji (ruskie czytelnie w Galicji liczą około 30.000 członków). Reszta ruskiej rolniczej i małomiejszczańskiej ludności przedstawia kompletną dezorganizację pod każdym względem i odnosi się do czytelni obojętnie, a po części nawet wrogo a to dlatego, że członkowie czytelni stanowczo występują przeciw zastarzałym a zgubnym zwyczajom ruskiej ludności. Pod tym ostatnim względem członkowie ruskich czytelni podobni są do ukraińskich sztundystów, którzy także nie sprawiają np. żadnych hucznych zabaw, nie piją i nie palą. Nadto razem wzięwszy, ruskie ludowe czytelnie nie przedstawiają żadnej organizacji: każda z nich z osobna technicznie wprowadza jednym duchem postępu, lecz nie pozostają one ze sobą w żadnym związku, nie tworzą jednego stowarzyszenia któreby decydowało o sprawach obchodzących lud ruski w czytelniach. To też, gdy polskie „Towarzystwo kółek rolniczych“ grzeszy zbytnią centralizacją — aż do zupełnego prawie odjęcia głosu istotnym członkom swych czytelni — ruskie ludowe czytelnie przedstawiają pod tym względem zupełny, że się tak wyrazimy, autonomizm kółkowy. Brak nawet organu przedstawiającego w całości ruch w ruskich czytelniach. Wiadomości o nim rozrzucone są po wszystkich ruskich gazetach — istny obraz ruskiej dezorganizacji. Wiadomości te odznaczają się pewną monotonością gdyż trzeba powtarzać prawie jedno i to samo o każdej czytelni. Dotychczas żadna ruska gazeta, żadne wydawnictwo ruskie nie zdobyło się na porządny artykuł o ruskich czytelniach, w którymby zebrano wszystko, co jednorodne, w całość pewną i w jednym obrazie przedstawiono cały rozwój ruskich czytelni. P. M. Kołomyjczuk ogłosił wprowadzić zamierzone wydanie w tym sensie książki całej, o 20 arkuszach druku p. t. „O ruskich ludowych czytelniach w Galicji i na Bukowinie“ (1871—1886), lecz dotychczas Rusini, chętni się tak swojemi czytelniami i zajęciem się takowymi, nie zdobyli się na odpowiedni fundusz. Narazie dodać musimy, że w ostatnich dwu latach i wspomnianych ruskich organizacyjnych ludowych

zawiązków przybyło stosunkowo mało, a z istniejących niektóre już całkiem upadły, inne znowu zaledwie wegetują.

Przyczyny tej ostatniej smutnej okoliczności nie należy szukać w członkach ruskich czytelni z ludu. Owszem, ci ostatni odznaczają się wielką gorliwością w popieraniu spraw czytelni, lecz sami zadaniu temu często sprostać jeszcze nie są w stanie, jakkolwiek i pod tym względem skonstatować nam wypada bardzo znaczny postęp w stosunku do lat poprzednich. Trzeba bowiem wiedzieć, że w latach 1871—1878 powstało w Galicji i na Bukowinie 180 ruskich ludowych czytelni, lecz wszystkie one upadły głównie dlatego, że sam lud wówczas wcale jeszcze nie był zdolny do ich prowadzenia, a ruska inteligencja w Galicji wówczas z ludem jeszcze się tak nie bratała, jak to nastąpiło około 1880 r. Obecnie ruskie czytelnie ludowe podupadają między innymi dlatego, że nawet prowincjonalna ruska inteligencja ochłonęła już nieco z swego zapалу do ludu i do zajmowania się jego sprawami, koncentrującami się faktycznie w czytelniach. Główną jednak przyczyną, dla czego wspomniane organizacyjne zawiązki nie tylko że nie urosły dotychczas w jednolitą organizację, ale także nie rozwijają się jakby należało — jest kompletny brak jednolitej organizacji między samą ruską inteligencją w Galicji, niezgodą, która w ostatnich latach rozwinęła się bardzo. Lecz jest to tak ważna sprawa, że jej poświęcimy następnie osobny artykuł.

Na zakończenie, rekapitulując wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, o organizacji między ludem ruskim, wyznać musimy, że pod tym względem Rusini stoją jeszcze stosunkowo bardzo słabo. A jednak zawsze o wiele lepiej od Polaków galicyjskich. U tych ostatnich dotychczas inteligencja nawet nie myśli o takim brataniu się z ludem, jakiemu od chwili naszego przebudzenia się na Ukrainie i w Galicji, z małemi przerwami hołduje inteligencja ruska. Bratania się tego wcale nie widać nawet w polskich czytelniach. Polski chłop w Galicji nie posiada nawet takiej gazety, jaką jest dla ruskiego „*Bat'kiwszczyna*“ i w ogóle, jak nam się zdaje, nie posiada w swych czytelniach nawet takiego organizacyjnego pod każdym względem środka, jakim niewątpliwie są dla ruskich chłopów ich czytelnie. Lecz o tem szczegółowo także innym razem.

Rusin.

E C H A.

Protestuję jak najmocniej, rękami i nogami! Protestuję z filozoficznych, politycznych i narodowych powodów! Protestuję jako Austryjak i Galicjanin — przeciw samej bezbożnej, przeciwnej państwu i kościołowi, żydowsko-polskiej i „zbrojno-demokratycznej“ nazwie czasopisma „*Ruch*“ i przeciw wszystkiemu, cokolwiek to czasopismo „*ruchem*“ pozwoli sobie nazwać. Co to jest ruch? Żadnego ruchu nie ma i nie powinno być — i na tem basta!

Dla czego? — pytacie. Zaraz wam wyluszcze.

Jako Galicjanin jestem stoikiem, bo razem z JE. p. Grocholskim „*stoje i stać chcę*.“ Jako Austryjak jestem również stoikiem, bo „*stoje*“ w spisach opodatkowanych i powołanych do pospolitego ruszenia. Wreszcie jako filozof jestem także stoikiem, bo stanąłem na „*propedeutyce filozofii*“, której nas uczono w siódmej i ósmej klasie gimn. Tam też dowiedziałem się, że i mistrze moi, starodawni stoicy, dla tego tak nazwani zostali, bo twierdzili i dowodzili, że strzała z łuku wypuszczona stoi a nie leci, — że wszystko w ogóle stoi i żadnego ruchu nie ma. Quod erat demonstrandum.

Nie wiem dokładnie, czy ci dawni stoicy byli z Galicji rodem, czy też Galicja w nowszych dopiero czasach przeszła na stoicką wiarę, lecz to wiem, że nam z tem dobrze. Główną podstawą wewnętrznego szczęścia człowieka (a o to przecież powinno nam najbardziej chodzić, a nie o dobra doczesne) jest harmonia między myślami i czynami, — a to mi przecież każdy przyzna, że najzupełniejsza tego rodzaju harmonia tam tylko może być, gdzie wszystko stoi na swoim miejscu, tu stoją czyny, tam stoją myśli, a gołąb z różczką oliwną unosi się nad ciemnościami.

A wy, panowie młodzi, co też wy wnosicie w ten nasz stojący, harmonijny świat ze swoim „*Ruchem*“? Powiedziałem już wyżej, że ruchu żadnego nie ma; a gdyby nawet po za nawiasem naszej świadomości był, to czemużby on był innym, jak nie przejściem ze spokoju do trwogi, z równowagi do wahania, z harmonii do chaosu? A wiecie wy, panowie młodzi, czem to paclnię? Przecież my na tyle jesteśmy szczęśliwi, że dla ubezpieczenia naszej społecznej i politycznej harmonii mamy paragrafy. A wiecie wy też, co to jest paragraf, z czego on się składa? Z dwóch haków, moi młodzi panowie, z dwóch haków, a to wcale nie żarty!

I jakimież syllogizmami chcecie wy apostołować tę nieszczęsną ideę ruchu? Czyż nie wiecie, że każde ciało, by poruszyć się z punktu A do B, musiałoby

przebiec linię AB, a linia, chociażby i jak krótka, składa się z nieskończonej ilości punktów. Musiałoby więc to ciało przebiec tę nieskończoną ilość punktów w nieskończonej ilości momentów, — czyli mówiąc innemi słowy, że linii tej i do skończenia świata nie przebiegnie. Czyż jeszcze wam nie jasna niemożliwość wszelkiego ruchu? I pocóż taką ogólnikową, w złym zamiarze wymyślaną nazwą straszyć opinię publiczną i mącić nasze stosunki społeczne?

Ba, ale nie dość na tem! Tę zgubną ideę ruchu chcecie panowie demonstrować jeszcze zapomocą nauk przyrodniczych, ekonomicznych i Bóg wie jakich jeszcze! Posłuchajcie mnie panowie, póki czas, i dajcie pokój. Żadnych nauk ekonomicznych i przyrodniczych nam nie potrzeba, — wystarczy sama historia i bibliografia Estrejchlera! Bo i cóż są nauki przyrodnicze? Mniej lub więcej zamaskowany ateizm. A nauki ekonomiczne? Wcale nawet nie zamaskowany socjalizm. No, cóż, jasno wam?

I na tem jeszcze nie dość, że psujecie naszą wewnętrzną harmonię szkodliwą ideą ruchu, po ślizkiej i pochylej drodze prowadzącego w przepaść ateizmu i socjalizmu, — to wam jeszcze nie wystarcza! Psujecie nasze najświętsze palladium, naszą przez Duchinińskiego tak świetnie wyemonstrowaną czystość rasową! Wprowadzacie do nauki, ha nawet, o zgrozo, do belletrystyki polskiej elementy żydowskie, bratanie się z ruskim separatyzmem!

Spodziewam się, że moje ojcowskie przestrogi (które równocześnie w odpowiednio zmodyfikowanej kopji przesyłam na ręce c. k. dyrekcji policji) upamiętają was i zwrócą na prawdziwą drogę. W takim razie radzę przedewszystkiem usunąć nazwę „Ruch“ i napisać „Basta“ — i niech was Pan Bóg błogosławi.

Dobrze myślczy.

* * *

Ze spraw stojących na porządku dziennym austriackiej rady państwa, najwięcej zajęcia ludzi śmiały wniosek Plenera, o zaprowadzenie Izb robotniczych, z prawem wysyłania posłów do rady państwa. Według tego wniosku mieliby robotnicy dziewięciu swoich posłów w parlamencie. Wniesienie podobnego wniosku ze strony lewicy, złożonej z żywołów par excellence mieszczańskich, było zwykłym manewrem taktycznym. Panu Plenerowi i towarzyszącom los robotników nie bardzo leży na sercu, idzie im tylko o to, żeby pozyskać sobie masy wnioskiem, o którym z pewnością wiedzą, że w tej formie nie będzie uchwalony. Rada państwa w obecnym swoim składzie zdecyduje się co najwyżej na uchwalenie Izb robotniczych, którym jak najmniej przyzna zakres działania, ale nigdy nie zezwoli na przypuszczenie robotników do parlamentu.

Lewica więc nie ryzykując zyska to, że zawsze powoływać się będzie na swoje dobre chęci, sparaliżowane przez większość Izby. Manewr lewicy dla każdego jest zrozumiałym, mniej jednak zrozumimy stanowisko, jakie wobec tej sprawy zajęła większość robotników. Prawie wszystkie zgromadzenia zwołane przez robotników w rozmaitych krajach koronnych oświadczyły się przeciw wnioskowi, a to z powodu że — robotnicy domagają się prawa powszechnego głosowania. Takiego stanowiska wręcz nie rozumiemy. Prawo powszechnego głosowania jest bezwarunkowo jednym z najślusniejszych i najżywołniejszych postulatów robotniczych, ale odrzucanie wielkiego i doniosłego ustępstwa, dla tego tylko, że nie zawiera ono zupełnego uwzględnienia życzeń, świadczy że robotnicy austriaccy trzymają się — mylniej w tym razie — zasady: im gorzej, tem lepiej. Wniosek Plenera przypuszczając na razie dziewięciu robotników do parlamentu, z jednej strony daje stronnictwu robotniczemu możność wypowiedzenia z najpierwszej w monarchji trybuny, życzeń i żalów proletariatu, z drugiej zaś strony, przy mozajkowym składzie austriackiego parlamentu, pozwala tej — aczkolwiek tylko przez dziewięciu posłów reprezentowanej partji, zdobywać pozytywne korzyści i znaczne na rzecz robotników ustępstwa. Wreszcie dla sprawy postępu ogromną doniosłość miałby już sam fakt dopuszczenia klas pracujących, chociażby pośrednio do praw politycznych.

Powtarzamy, że zdaniem naszym wniosek Plenera albo nie przejdzie wcale, albo przejdzie w formie zupełnie spaczoney, ale mimo to zasadnicze stanowisko, jakie wobec niego zajęli austriaccy robotnicy, wydaje się nam w wysokim stopniu niepolitycznem i błędnem.

* * *

Czy sługa jest człowiekiem czy nie? Jeżeli łaskawy czytelnik sądzi, że jest człowiekiem, to czyni to zapewne albo z powodu swej dobroduszości, albo mocą zastarzałego przesądu, które każe nam zaliczać sługi do kategorii ludzi, nie zaś do kategorii bydła roboczego lub w ogóle „przedmiotów domowego gospodarstwa“. Że pogląd taki jest li tylko przesądem, opartym na nieświadomości współczesnych nam wymagań życiowych i notat ustawodawczych, to demonstruje nam jasno jak na dłoni dokument p. t. L. W. kraj. 62.661/1886. Sprawozdanie z projektem ustawy o stosunkach sług str. 2—3. Wykłada tam Rada Wydziału krajowego galicyjskiego swą kontrawersję z rządem w następującej sprawie. W projektowanej przez tenże Wydział ustawie o sługach znajduje się postanowienie, że sługa po zawarciu umowy służbowej bezwarunkowo powinien do służby wstąpić, zaś sługa zbiegły w drodze egzekutywnej ma być na nowo do służby przystawiony

mocą uchwały pierwszej instancji w tych sprawach, tj. zwierzchności gminnej, resp. przełożonego obszaru dworskiego. Jeżeliby zaś sługa przeciw tej uchwale wniósł zażalenie do wyższej instancji, tj. do starostwa, to postanowienie pierwszej instancji bez względu na ten rekurs ma być natychmiast wykonanem. Otóż takiemu postanowieniu sprzeciwia się rząd; między innemi z tego powodu, by władza polityczna nie stała się sługą samowoli służbodawców i nie musiała wskutek ich (we własnej sprawie) rozporządzenia siłą odstawiać sługi do służby nawet w takim razie, gdy w drodze rekursu słudze w parę dni później przyznana będzie słuszność i wolność opuszczenia służby. Naprzeciw tego argumentu wyprowadza Rada Wydziału krajowego działo najcięższego kalibru, podając pod rozprawę sejmowi następujący argument: „Instytucja prowizorycznej egzekucji jednak powszechnie przyjętą jest i od zastosowania jej nie odstrasza wcale obawa, że c. k. sąd, który wdrożył i przeprowadził prowizoryczną egzekucję, n. p. oddanie przedmiotu dzierżawy prowizorycznie wydzierżawiającemu na podstawie §. 14 ces. rozp. z dnia 16. listopada 1858 Dz. u. p. nr. 213, następnie uznać może za nieuzasadnione wymaganie wydzierżawiającego, ażeby mu przedmiot dzierżawy oddanym został.”

A więc sługa — jest przedmiotem dzierżawy! Najwyższa władza autonomiczna dokonała tego cudu, podejgała go pod paragraf ustawy, traktującej wyłącznie o przedmiotach, nie zaś o ludziach. Najciekawsza jednak rzecz, że ten projekt i z innych jeszcze powodów potworny, podpisał jako sprawozdawca — Rusin, demokrat, narodowiec — poseł Bereżnicki. Nie pojmujemy absolutnie, co mogło szanownego posła skłonić do podpisania tego elaboratu. Czy zasiadanie w Wydziale krajowym obowiązuje do podobnych nieśmiertelnych kompromitacyj? Czy może rusinizm szanownego posła rozciąga się tylko na język i obrządek bez względu na to, jakie rzeczy wygłasza tym językiem? Czy wreszcie podpisał on i zdawał sprawę z rzeczy, o której nie miał pojęcia, której znaczenia i doniosłości nie był w stanie ocenić?

* * *

Smutną nadzwyczaj wiadomość przyniósł nam tuższy „Przegląd” w numerze 16 z d. 21. stycznia 1887. Posłuchajmy tej wieści Hiobowej w jej dosłownem, złowieszczem brzmieniu! „Sławna niegdyś z zabaw ziemia sanocka nie może się obecnie tem pochlubić. Wprawdzie odbył się w okolicy niedawno jeden wieczorek przedkarnawałowy, ale o dalszych już mowy nie ma. Z owych niegdyś balów i zabaw pozostała za ledwie tradycja.” Dziwi nas mocno jedna tylko okoliczność: dla czego konserwatywny „Przegląd” zadowolnił się prostym zanotowaniem tej Hiobowej wieści, dla-

czego nie poświęcił nieco więcej miejsca na omówienie środków zaradczych przeciw takiej klęsce narodowej. Pomyślcie tylko państwo, co to za fakt! Szlachta sanocka nie bawi się! Ta szlachta, która do niedawna nietylko sama się bawiła, lecz umiała swoim kosztem niejednokrotnie zabawić całą Galicję! Czyż mamy przypominać takie pas celébres, wykonywane do niedawna przez członków tej szlachty, jak kupno 260-morgowego lasu gminnego za 60 kr. w. a., jak ponawiane rok w rok w sejmie wnioski o skasowanie ruskich świąt i ruskiego kalendarza, jak wybory i wota ufności dla p. Kozłowskiego itp.? Cóż więc stanie się z Galicją, gdy ta, jedyna w swoim rodzaju szlachta, przestanie albo zapomni się bawić? Nie, dalibóg, śmieje się państwo lub ściskającie ramionami, lecz moje serce czuje coś niedobrego. W fakcie tak lakonicznie zanotowanym przez nasz ukochany „Przegląd” widzę nieochybną przepowiednię, że coś bardzo, bardzo wielkiego w lesie zdechnie!

* * *

Przepraszam wszystkich patentowanych lingwistów, że wkroczę trochę w ich dziedzinę. Nasunęła mi się kwestja — ortograficzna. Nie myślę jednak rozstrzygać jej ze stanowiska gramatyki, a tylko z punktu widzenia — demokratycznego. Wpadł mi do rąk numer francuskiego czasopisma *La Démocrate*, z którego się dowiedziałem, że we Francji założono towarzystwo, które sobie wzięło za zadanie szerzyć ortografję fonetyczną. W tymże numerze znajduje się także odezwa nowego towarzystwa, stanowiąca zarazem próbkę nowej ortografji. Podajemy z niej wyjątek, aby nasi czytelnicy mieli wyobrażenie jak ma wyglądać zde-mokratyzowana mowa francuska. Oto początek odezwy:

„*Il s'est fondé une „Assosiation fonétique“ dont le but est de substituer dans l'usage l'orthographe phonétique à l'orthographe traditionnelle aujourd'hui employée. Le président, M. Paul Passy (qui devra écrire son nom P.A. Pasi), fils du député de la Seine, en a exposé le programme hier, salle de Capusine.*”

„*Notre orthographe actuelle est absurde, tout le monde est d'accord là-dessus. — Elle fait le désespoir des écoles, elle absorbe le meilleur temps de leur étude. Elle établit dans notre société démocratique des inégalités cruelles au détriment de ceux qui ne le savent pas.*” i t. d.

Usiłowania ku zreformowaniu pisowni francuskiej w kierunku fonetycznym nie są nowe. W r. 1878 ze wszech miar poważne *Journal des Débats* zabrało również głos w tej sprawie. W artykule o dykejonarzu akademji pan F. Baudry oświadcza się stanowczo za przyjęciem ortografji fonetycznej, a to ze względu na demokratyczny ustrój państwa francuskiego. „Zawilosość

naszej pisowni, — mówi Baudry — która ją czyni tak trudną, staje się przyczyną nierówności społecznej, która boleśnie dotyka klasy niższe nie przynosząc korzyści wyższym... Czyliż nie masz dość innych nierówności koniecznych, aby jeszcze i tę do nich dodawać?...“

Jeżeli takie głosy i takie dążenia pojawiają się we Francji, nawskróś arystokratycznej pod względem językowym, w tej Francji, która drwiąc sobie z królów i pretendentów, drzy jednak jak student przed powagą „akademji“ — czyż nie należałoby i nam pomyśleć o zdemokratyzowaniu języka naszego przez uproszczenie i ujednolinitanie pisowni? Wszak język polski nie ma i setnej części tej zawilosci ortograficznej co francuski i chodziłoby tylko o usunięcie niewielu stosunkowo pozycyj etymologicznych, zawzięcie jak dotąd bronionych przez gramatyków. Możeby też ci panowie wzięli tę rzecz pod rozwagę i rozstrzygnęli fachowo czy można pisać poprawnie po polsku nie znając etymologii?

* * *

We Lwowie popełnione zostało straszne morderstwo, a zdobycz, na którą złakomili się mordercy, wynosiła 27 centów! Kwota tak mała, że według wyobrażeń uboższej nawet ludności dnia z nią przeżyć nie można, była dla tych ludzi dość silną pokusą do popełnienia najokropniejszej zbrodni. Czyż to nie straszny dowód nędzy i upodlenia proletariatu? Dwadzieścia siedm centów to wszakże za mało żeby opłacić powóz na bal, za mało na krawatkę, za mało na rękawiczki; to chyba dość — na jałmużnę! Nie jeden z nas nie schylił się nawet żeby podnieść przedmiot tej wartości, nie spostrzeże się, jeżeli go zgubi. Ale ci lokatorowie nor piwnicznych, ci nędzarze wyrzuceni na bruk miejski, których wyniańczyła nędza, a wychowała zbrodnia, te biedne istoty które od kolebki do trumny, jak zgłodniałe wilki walczą o kość ogryzioną, te przygarbione postacie, które za kieliszek trującej wódki jak juczne woły uginają się pod ciężarami, te wpół dzikie istoty którym nikt nie jest bratem, nikt przyjacielem, bez religii i bez moralności — za taką kwotę nie waha się zamordować człowieka, nie waha się stawić własne w zakład życie. Sprawiedliwość pójdzie swoim trybem, za zbrodnię nastąpi kara, ale kiedyż wymierzona zostanie sprawiedliwość wyższa, sprawiedliwość ogólna, kiedy upodlone i zezwierzęcane te masy podnieść zdolamy do godności ludzkiej, kiedy nauczymy je czuć, myśleć i kochać? Kiedy...?

Ze świata muzycznego.

Gdy Dyrekcja teatru zaangażowała nową trupę operową, a sezon tegoroczny przyniósł już kilka nowości na polu dramatu, spodziewaliśmy się, że i na polu operowym nastąpi zwrot ku lepszemu.

Prawda jednak, gdy usłyszeliśmy nowo zaangażowanych artystów, wnet straciliśmy tę nadzieję. Z temi siłami trudno żądać nowości — a nawet nie życzymy ich sobie, już naprzód ubolewając nad losem nieszczęśliwej królowej Saby. Wierzymy chętnie w dobre chęci Dyrekcji i wiemy, że nie brak umiejętnego kierownictwa naszej operze, ale nie możemy uwolnić Dyrekcji od zarzutów, że widocznie brak jej rutyny i inicjatywy do usunięcia dawno zagnieżdżonych u nas braków i błędów. Jest bowiem absolutnie niemożliwem aby przy tak zdekompletowanej orkiestrze i takich chórach jakakolwiek opera dobrze wypadła. Czyż Dyrekcja nie widzi, że największe oliary pieniężne, największe gaże płacone primadonnom włoskim na nic się nie zdadzą, jeśli brak choćby znośnego tylko ensemblu? Póki ten błąd nie będzie usunięty, dopóty nie będzie u nas porządnej opery, choćby i sam Mierzwiński z Kochańską byli stale zaangażowani. A cóż dopiero, jeśli bohaterским tenorem jest p. Laspiur a primadonną pani de Neval? Dodajmy do tego altystkę pannę Calas i basistę p. Curtiego — zaiste aż zanadto tego dobrego na jeden sezon. Słyszymy że p. de Neval niezadowolona z przyjęcia, jakie jej zgotowała tutejsza krytyka, zgłosiła dymisję. A la bonheur — szczęśliwej podróży. I panna Calas miała otrzymać od Dyrekcji dymisję. Jakkolwiek i przeciw temu nie mamy, to jednak zdaje się nam, że tu Dyrekcja karze za swoje błędy tych, którzy na nich cierpią. Bo Dyrekcja przyjęła niestety w tegoroczny repertuar także operę Caumen. Jak można było oddawać rolę Carmeny śpiewaczce, która urodzoną jest do partyj starszych, jak Aumeris etc? Wszak nie trudno było przewidzieć, iż p. Calas okryje się śmiesznością? Nawet nie mogliśmy wziąć za złe Don Josému, że tak kiepsko śpiewał przy takiej Carmenie. A do tego pani Radwan, która w roli Micoeli wcale nie jest na swoim miejscu — nasze chóry i orkiestra, to stanowiło piękny ensemble.

* * *

Już drugie przedstawienie Carmeny z panną Prawn było lepszym, a nawet jeśli zadowolenie publiczności ma być suprema lex, zupełnie dobrem. Panna Prawnówna była bowiem przyjmowana i oklaskiwana prawie z entuzjazmem. Jakkolwiek chętnie widzieliśmy te objawy sympatji dla tej artystki i Carmen panny

Praun, musiała zrobić miłe wrażenie, to jednak należy przyznać że panna Praun i zawdzięczała swój tryumf bardziej swej pięknej postaci i doskonałej grze niż śpiewowi. Pana Laspiura żalujemy, albowiem głos jego widocznie cierpi wskutek zbytniego nateżenia. Jest to mały głos tenorowy liryczny, który został zniszczony przez forsowanie i absolutnie do partyj bohaterских się nie nadaje.

Jeszcze kilka słów o p. Curtim. Głos jego w wyższych pozycjach silny i piękny, w niższych ginię zupełnie, a tylko po silnych ruchach jego warg poznajemy wtedy, że śpiewa. O grze jego wolimy nie mówić nic. Wszak opera wychwalana systematycznie przez naszych sprawozdawców i oklaskiwana przez klaskę galeryjną!

Słyszyny jednak, że druga połowa sezonu zapowiada się lepiej a to z powodu licznych występów gościnnych. Prócz panny Hermanówny, Pinkertówny i pani Sztoleman ma zjechać do nas p. Donadio, którą jeszcze z pierwszego jej pobytu we Lwowie przed kilku laty mamy w miłej pamięci.

Chętnie powiedzielibyśmy kilka słów o koncertach, lecz niestety nie mamy nic ważnego do zanotowania. Z wyjątkiem dwóch koncertów amatorskich na dobroczynne cele nie słychać nic — a tylko Towarzystwo muzyczne zapowiedziało sześć wieczorków muzycznych na przyszły miesiąc.

* * *

Trzecie przedstawienie Aidy utwierdziło nas najzupełniej w mniemaniu naszym o trupie włoskiej. Jedyny p. Nolti jest artystą, który zasługuje na to miano i może na naszej scenie dłużej pozostać. Posiada on wszystkie warunki sceniczne, a śpiew jego słusznie zawsze wywołuje barze oklasków. — P. Curti w Aidzie jeszcze najlepiej się trzyma; partja arcykapłana odpowiada jakoś lepiej jego głosowi i gra jego jest tu lepszą niż w innych partjach.

* * *

W Paryżu prawie równocześnie wystawiono w operze komicznej nową operę Salvayre'a „Egmont“, a w operze wielkiej dramat muzyczny Paladillie'a „Ojczyzna“, którego libretto przerobione zostało przez L. Galleta z znanego dramatu Wiktoryna Sardou „Patrie“. Podczas gdy Salvayre już do oklasków i uznania przyzwyczajony oddał swą operę dyrekcji opery komicznej na zamówienie dyrektora Carvallo, Paladillie od czasów sławnej swej pieśni „Mandolinata“ kilkakrotnie próbował swych sił w operze, lecz bezskutecznie, a opery komiczne jego „L'amour africain“ i „Diana“ nie miały powodzenia. Dopiero wielki dramat Sardou, osnuty na tle walk

bohaterskich Niderlandczyków przeciw jarzmu hiszpańskiemu, dał mu sposobność do rozwinięcia sił swoich i wskazał mu pole, talentowi jego odpowiednie.

„Patrie“ Wiktoryna Sardou zawiera wiele scen nadzwyczaj dramatycznych, które w muzyce znalazły bardzo dobrą interpretację, tylko że Paladillie nie włożył w tę muzykę tyle melodij ile zwykle od opery wymagają. Libretto nadzwyczaj zręcznie ułożone przez Galleta wyzyskuje wszystkie momenta, do efektów muzycznych się nadające. Opera nie ma uwertury, lecz zaczyna się wprost preludem, który wprowadza chór żołnierzy hiszpańskich. W różnym rytmie tego chóru bardzo dobrze oddana jest brutalna wesołość Hiszpanów. Po wprowadzeniu więźniów następuje solo tenorowe markiza Tremoille; osoba ta w akcję bardzo zręcznie wpleciona, nie jest koniecznie potrzebną, lecz dodaje akcji wiele życia i jest niejako jej komicznym elementem. Solo Rysoora, w którym opisuje opłakany stan Flandrii i tyranię hiszpańską i nader efektowna scena, w której Rafaela, mimo oporu Hiszpanów uzyskuje uwolnienie więźniów, zakończy I. akt. Dalej akcja idzie zupełnie według dramatu Sardou z wyjątkiem tym, że Rafaela nie umiera, lecz idzie do klasztoru, aby odpokutować tam swą miłość do Karlosa. W drugim akcie jest balet. Widzimy port i wolne miejsce, nadjeżdża okręt, z którego wysiadają osoby wszystkich narodowości poddanych Hiszpanii przy dźwiękach swoich pieśni ludowych; tutaj rozwija kompozytor całą swą zdolność, stwarzając muzykę charakterystyczną odpowiednią usposobieniu każdego z tych narodów. Balet zakończony jest walcem, który bezwątpienia stanie się wnet popularnym jak Sylwia Delibesa. W trzecim akcie poznajemy strasznego Albe, którego niczem nie złamana srogość jedną zna tylko zaporę, a tą jest miłość dla córki. Kontrast ten między jego charakterem surowym, a czułością dla dziecięcia, oddany jest w arji jego „O douce enfant“, jednej z najpiękniejszych miejsc całej opery; w tymże akcie jest też wielka scena, w której Dolores denuncjuje męża swego i odkrywa cały spisek dla uratowania kochanka, pełna efektów dramatycznych. W czwartym akcie wybucha powstanie, zostaje jednak zaraz sflumionem, a spiskowcy uwięzieni, poczem następuje ostatni bardzo krótki akt, zawierający arję Dolores, duet Karlosa i Dolores i śmierć tej ostatniej. Cała opera daje poznać niepośledni talent Paladillie i rokuje mu piękną przyszłość, jeśli będzie umiał pozostać w granicach swego talentu.

B.

Kronika powszechna.

Literatura, prasa, odczyty.

— Konkurs na oryginalną powieść społeczną rozpięła redakcja „Kurjera warszawskiego“, przeznaczając na nagrodę kwotę 1500 rs. Termin nadsyłania prac do 30. września br. Przyznane będą dwie nagrody: po 1000 r. sr. i 500 rs. Sędziami będą: Ludwik Jenike, Piotr Chmielowski, Dionizy Henkiel, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemiński i Henryk Sienkiewicz; prócz tego z łona redakcji należą do komitetu pp. Bogusławski i Sabowski. Prócz powyższych nagród redakcja przyrzeka autorowi za pracę wydrukowaną w „Kurjerze“ honorarium po 5 kop. od wiersza, a utwór po wydrukowaniu staje się napowrót własnością autora.

— Redakcja warszawskiego „Tygodnika ilustrowanego“ rozpięła konkurs na humoreskę 300 do 500 wierszy druku mającą. Nagroda wynosi 100 rs. i przyznana będzie jednej z trzech prac przyjętych do druku przez redakcję na podstawie głosowania abonentów. Termin nadesłania prac do 1. marca b. r.

— Sezon odczytów publicznych we Lwowie zainaugurował profesor Tarnowski dwoma odczytami o Henryku Rzewuskim. Po nim czytał d. 16. stycznia prof. Bobrzyński o „Sejmie czteroletnim“ Kalinki. Trzecim z rzędu prelegentem był Wojciech hr. Dzieduszycki, który sobie za temat obrał „Potop“ Sienkiewicza. Wszystkie te odczyty budziły wielkie zajęcie.

— Pp. St. Michałowski, W. Gasztowt, Eug. Korytko, L. Dygat i dr. Lewenhard wydali w Paryżu odezwę imieniem założonego przez się „Koła prasowego“ wzywającą do subskrypcji na założycie się mające czasopismo polskie w Paryżu. Pismo to miało być organem emigracji, której znaczenie zdaniem autorów „odezwę“ staje się coraz większem wobec dzisiejszych stosunków.

— Estreichera „Bibliografji“ wyszedł zeszyt 3. i 4. tomu IX.

— Znany lingwista Hanusz, docent uniwersytetu wiedeńskiego, Polak, otrzymał od krakowskiej akademii stypendjum 3500 franków z fundacji im. Gałęzowskiego na odbycie podróży naukowej do Włoch, Francji i Anglii.

— Nowej biblioteki uniwersalnej arcydzieł literatury europejskiej wyszedł zeszyt pierwszy i zawiera Karola Szajnochy „Bolesław Chrobry i odrodzenie się Polski za Władysława Łokietka“, Bodzantowicza „Zawsze oni“, Dantego „Boska komedia“.

Wydawnictwa tego podjęła się księgarnia J. K. Żupańskiego i K. J. Heumana. Taż księgarnia ogłasza prospekt na dzieło prof. Straszewskiego p. t.: „Dzieje filozofji w zarysie.“

— Julian Klaczko udaje się do Włoch w celach naukowych. Robi on studia nad kwestją wschodnią, o której zamierza wydać dzieło.

— Gramatykę polską po holendersku wydał profesor Gorje z Leydy, dla użytku młodzieży uniwersyteckiej. Gramatyka ta jest opracowaną na podstawie i metodzie prof. Małeckiego.

— Demokratyczny poseł wiedeński dr. Kronawetter miał niedawno wykład w Stowarzyszeniu politycznym „Wahrheit“ o społeczno-politycznych stosunkach Austrii. Dzienniki niemieckie konstatują, że treść tego odczytu była wybitnie socjalistyczną.

— Warszawski Dniownik na mocy rozporządzenia ministerstw, utracił debiet pocztowy w krajach korony węgierskiej, w krajach przedlitawskich odebrano mu debiet już przedtem.

— Pamiętniki pani Baumann-Jerichau, z których niedgdyś „Kłosy“ podały wyjątki, przetłumaczone zostały z oryginału duńskiego na język polski i wkrótce mają być wydrukowane.

Znajduje się w nich wiele szczegółów z wypadków r. 1831.

— Ciekawą statystykę wydawnictw umieściło niedawno czasopismo „Publishers Circular“. Według tego wyszło w Anglii w roku zeszłym 3984 nowych książek a 1236 nowych edycji dzieł dawniejszych. Z tego przypadało 616 nowych książek a 136 nowych edycji na dzieła teologiczne i kazania; 45 na dzieła klasyczne i filologiczne; 390 na dzieła dla młodzieży; 755 na romansy i nowele; 18 na dzieła prawnicze; 214 na polityczne, ekonomiczne i handlowe; 132 na publikacje artystyczne i naukowe, oraz wydania ilustrowane; 178 na opisy podróży i dzieła geograficzne; 282 na historję i biografję; 60 na dramata i poezję; 291 na roczniki i pisma perjodyczne; 114 na dzieła medyczne i chirurgiczne; 357 na beletrystykę, rozprawy i monografie, a 348 na pisma treści mieszanej, między którymi i broszury. Widać z tego, że dotychczas jeszcze najwięcej czytają w Anglii dzieła teologiczne i powieściowe.

— Znany szermierz kierunku realistycznego w literaturze niemieckiej, Karol Bleibtreu wydał tomik poezyj (Dessau, 1886) p. t. „Welt und Wille“ i poprzedził ten zbiór wstępem, w którym kreśli zadanie „realistycznej“ liryki, mistrzem takowej mieniając Byrona. Poezje te — jak sam tytuł wskazuje — są przeważnie oddźwiękiem filozofji Schopenhauera.

— Miesięcznik niemiecki „Die Gesellschaft“ redagowany przez M. G. Conrada w duchu skrajnie — realistycznym, przeszedł na własność firmy księgarskiej W. Friedrich w Lipsku.

— Nowa powieść Zoli pod tytułem „La Terre“ ma wkrótce ukazać się na półkach księgarskich. Przedmiotem jej jest rolnictwo i oddający się mu wieśniak. Głównym bohaterem jest Jan Macquart, brat la Gervaise z „Assommoir“, który po powrocie z kampanji włoskiej jest kolejno stolarzem, woźnicą i wreszcie rolnikiem. Podział ziemi między dwóch braci stanowi węzeł intrygi. Książka dzieli się na pięć części. Powieść rozpoczyna się i kończy wśród zimy. Te dwa pokłady śniegu zamykające ją jakby w nawiasie, służą dla wykazania, że dola rolnika jest również twardą, jak ów lód zimowy. Autor przed oczami czytelnika przedstawia całoroczną pracę wieśniaka: siew, sianozęcie, żniwa i wreszcie winobranie. Po ukończeniu tej powieści zamierza Zola napisać pięć nowych tomów. Pierwszy poświęcony będzie kolejom żelaznym; drugi giełdzie i dziennikarstwu w obrębach państwa liberalnego; w trzecim poda opis wojny, Sedanu i komuny, czwarty ma zawierać socjalno-naukowe badania atawizmu; w piątym poniesie się wszystko, co w czterech pierwszych tomach nie będzie mogło się zawrzeć. Na tych pracach Emil Zola pragnie zakończyć swoją karierę powieściopisarską, dopiero następnie zamierza poświęcić się scenie.

— Literatura żydowska a szczególnie talmudyczna była do niedawna księgą zapieczętowaną dla narodów Europy. Stąd tyle sprzecznych i mylnych zdań o żydach i o kwestji żydowskiej. Trafnym instynktem wiedziony świat naukowy wziął się nareszcie do obznajomienia ogółu z temi tajemnicami tłumacząc jedne po drugich księgi żydowskie na różne języ

ki europejskie, przezo więcej niezawodnie uczyni dla rozwiązania t. zw. „kwesji żydowskiej“ aniżeli tysiące broszur i artykułów pro i contra pisanych bez znajomości dziejów i literatury żydowskiej. Jednej takiej ważnej publikacji podjął się lipski profesor Wünsche (protestant), wydając niemiecki przekład hagadycznych części babilońskiego talmudu; dzieła tego wyszedł właśnie tom drugi. Ważniejszym jeszcze od tego, jest przekład francuski talmudu jerozolimskiego dokonany przez p. M. Schwaba, który już doprowadzonym jest do tomu dziewiątego.

— Grudniowy zeszyt londyńskiego „Fortnightly Review“ zamieszcza bardzo ciekawą pracę księdza Reaney p. t.: „Wyrzutki Londynu“, zawierającą opis bezgranicznej nędzy wschodniej dzielnicy tego miasta. Dowiadujemy się od autora że z 800.000 mieszkańców tej dzielnicy zaledwie 180 rodzin mieszka w domach prywatnych, płacąc po 60 funtów szt. czynszu na rok. Syn dziedzicy po ojcu głód. Chłopey tamtejsi wcale nie są podobni do dzieci innych okolic. Kobiety pracują dzień cały za opłatą $\frac{3}{4}$ pensa od godziny. Za życie całej rodziny płaci się również $\frac{3}{4}$ pensa!

* * *

Malarstwo, rzeźba i architektura.

— Lwów ma nareszcie uzasadnioną nadzieję otrzymania osobnego gmachu dla muzeum i szkoły przemysłu artystycznego. Galicyjska kasa oszczędności oświadczyła bowiem reprezentacji miejskiej, iż kwotą 350.000 guldenów zebraną na fundację pamiątkową, przeznacza na budowę takiego gmachu.

— Pomnik Tyzenhauza (podskarbiego) stanąć ma w jednym z kościołów Grodna staraniem hrabiny Przezdzieckiej. Wykonanie poruczone rzeźbiarzowi Dykasowi.

— Henryk Siemiradzki w odpowiedzi na zaproszenie komitetu wystawy krakowskiej przyjął obowiązki delegata komisji artystycznej, oświadczając, że uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, aby nakłonić artystów polskich, zamieszkających w Rzymie, do zasilenia swemi utworami oddziału sztuki.

— Michał Munkaczy powrócił do Paryża z Ameryki, gdzie doznał entuzjastycznego przyjęcia.

— Gustaw Flaubert, główny przedstawiciel francuskiej szkoły naturalistycznej ma otrzymać pomnik w Paryżu, dzięki staraniom jego wielbicieli. Wykonanie pomnika poruczone rzeźbiarzowi paryżkiemu Chapu.

— Wiedeński „Kunstverein“ urządził w tym sezonie specjalną wystawę (wieczorną) dzieł Matejki. Wystawę tę składają: „Wernyhora“ i „Dziewica Orleańska“.

— Pomnik Mazzini'ego ma stanąć w Rzymie. Propozycję do tego uczyniło trzydziestu posłów w parlamencie włoskim.

— Św. Tomasz z Akwinu ma otrzymać pomnik w Watykanie.

* * *

Teatr i muzyka.

— P. Sembrich-Kochańska śpiewała we Wiedniu przed cesarzem i rodziną cesarską. W lutym ma wystąpić w nadwornej operze, której intendent, baron Bezecný stara się zaangażować ją stale dla tego teatru.

— Nowy dramat Ohneta „Comtesse Sarah“ przerobiony z powieści pod tym samym tytułem, wystawiono w teatrze „Gymnase“ w Paryżu. Sztuka miała mierne powodzenie. — Natomiast Aleksander Dumas osiągnął sukces

zupełny swoim nowym trzyaktowym dramatem „Francillon“. Przedmiotem sztuki oczywiście znów — wiarołomstwo małżeńskie: Bohaterka, Francine, czyli „Francillon“ podejrzewa męża o wiarołomstwo, śledzi go i oczywiście chwytą na gorącym uczynku. Natychmiast wykonuje zemstę w ten sposób, że z pierwszym lepszym mężczyzną spotkanym na balu udaje się do tej samej restauracji, do której niewierny mąż poprowadził swoją dziewczynę i oskarża się sama przed mężem. W dalszym toku mąż dowiaduje się, że czyn o który się Francine oskarżyła był wymysłem tylko i wszystko kończy się dobrze — na razie.

— Znany kompozytor angielski Sullivan wystąpił z nową kantatą „The Golden Legend“, która w Albert Hall została wystawioną.

— Dwaj uczniowie Liszta Aug. Stradel i Aug. Göllerich urządzają we Wiedniu szereg koncertów na 2 fortepiany na wzór haci Thern.

— Koncert Bülowa we Wiedniu odbył się bez spodziewanych skandali. Artysta z Wiednia przybył do Lwowa, gdzie 30. stycznia wystąpił z koncertem.

* * *

Nauka.

— Pod protektoratem króla włoskiego powstało we Florencji naukowe „Towarzystwo Azjatyckie“ na wzór niemieckiej „Morgenländische Gesellschaft“. Zadaniem nowego towarzystwa, na czele którego stoi Angelo de Gubernatis jest naukowe zbadanie Azji.

— Wiedeńskie „Towarzystwo geograficzne“ na ostatnim swoim zebraniu mianowało członkiem honorowym Karola hr. Lanckorońskiego.

— Panna Sobańska, kreolka, złożyła wydziałowi pedagogicznemu w Bostonie rozprawę napisaną po łacinie p. t. „O wychowaniu“. Panna Sobańska zamierza w Bostonie rozpocząć wykłady łaciny dla kobiet.

— Akademia medyczna w Paryżu na posiedzeniu swoim z d. 21. grudnia z. r. przyznała nagrodę za najlepszą pracę z dziedziny patologii wewnętrznej pannie A. Klumpke. Praca jej nosi tytuł: „Przyczynę do studjów nad porażeniami sieci nerwowej ramion.“ Nagroda wynosi 500 franków. Jest to połowa przewidzianej na ten cel kwoty 1000 franków (Prix Godard); drugą połowę otrzymał dr. Leon Perrin z Marsylji.

* * *

Ruch społeczny.

— Na fakultecie medycznym w Paryżu jest obecnie zapisanych 108 kobiet, a mianowicie 83 Rosjanek, 11 Angielek, 7 Francuzek, 3 Amerykanki, 2 z Austro-Węgier, 1 Rumunka i 1 Turczynka.

— Kremacja zwłok zaprowadzoną będzie wkrótce w Paryżu. W marcu już mają być oddane do publicznego użytku piec na ten cel wybudowane na cmentarzu Père Lachaise.

— Teatr dla robotników. Pierwszy teatr dla robotników otwarto w tych dniach w Petersburgu. O teatrze tym podają „Nowosti“ następujące szczegóły: Ładny gmach teatralny mieści się nieco na uboczu, wśród ogródów i zajmuje koło 140 sążni kwadr. Sala widzówa pomieścić może koło 700 osób i uderza prostotą urządzenia i brakiem wszelkich ozdób. Galerje zajmują ścianę przeciwległą scenie, krzesła zastępują szeregi ław z przejściami w pośrodku. Teatr zaopatrzony został we wszelkie przeciwpożarowe urządzenia i oświetlany będzie elektrycznością. Ogrzewanie

parą i wentylacja urządzone według najnowszych systemów. Miejsca są nader tanie, od 15 kopiejek w pierwszych rzędach do 5 na galerjach. Widowiska odbywać się mają w dni świąteczne, wyjątkowo powszednie z podwyższeniem cen. Budowa teatru kosztowała około 30.000 rubli i trwała trzy miesiące. Entrepryzę oddano p. Denisence, bez żadnego subsydjum. Grane tam sztuki winny posiadać charakter wychowawczo-moralny. Pierwsze przedstawienie odbyć się miało w święta Bożego Narodzenia. Z bufetów teatralnych wyłączono zupełnie napoje spirytusowe.

* * *

Zmarli.

— Tomasz Moore, słynny botanik angielski, zmarł w Londynie w 66 roku życia. Największem jego dziełem jest napisane wspólnie z Janem Lindley'em *Treatise of Botany*.

— Lord Iddesleigh (Sir Stafford Northcote) długoletni przewodzca torysów angielskich był ministrem spraw zagranicznych, urodzony w r. 1818 zmarł w Londynie d. 12. stycznia.

— Deputowany niemiecki Dirichlet, członek partji wolnomyślniej zmarł w Berlinie w 54. roku życia. Dirichlet głosował przeciw ustawom antipolskim.

— Fryderyk Amerling, znakomity portrecista ur. 1803 we Wiedniu, zmarł tamże d. 15. stycznia b. r.

— Dr. Herman Luchs, wysoce ceniony archeolog zmarł w Wrocławiu w 60 roku życia.

— Jan Grejm, artysta-malarz umarł d. 17. grudnia r. z. w Kamieńcu podolskim, mając lat 26.

— Claude Fernand Gaillard, znakomity sztycharz francuski, urodzony r. 1834 w Paryżu, umarł tamże.

— Karol Esmarch, profesor prawa rzymskiego w Pradze umarł d. 23. stycznia w 63 roku życia.

— Wilhelm Genast, literat i polityk niemiecki, zmarł w Wejmarze. Genast urodzony w r. 1822 w Lipsku, był synem głośnego swojego czasu aktora. Skończywszy wydział prawny w Jena, wstąpił w Berlinie do ministerjum spraw wewnętrznych i dosłużył się tam godności dyrektora sekcji. Pisał on dramata i powieści („Bernhard von Weimar“ i „Florian Geyer“, dramata; „Das hohe Haus“ i „Der Köhlergraf“ powieści). Prace jego literackie odznaczały się głównie wykwintną formą.

— W Dreźnie zmarł Adolf Thomas, zdolny malarz, pojarzysta, urodzony w r. 1834.

* * *

Rozmaitości.

— Radykalne miasto. Pomiędzy miastami angielskimi, które się gotują do bliskiego obchodu jubileuszu rządów królowej Wiktorji, znalazło się także miasto Oldham. Obywatele tamtejsi zeszli się z tego powodu na naradę, lecz zaraz na wstępie kilku radykałów wystąpiło z wnioskiem, aby zaniechać wszelkich manifestacyj, a to ze względu, że królowa w czasie pięćdziesięcioletnich rządów swoich „właściwie nie uwagi godnego nie uczyniła“. Do tego wniosku przychylił się sam pan mayor (burmistrz) i tak oryginalny ów wniosek wraz z motywami większością głosów został uchwalony.

Ze stołu redakcyjnego.

Dr. Gustaw Roszkowski. O konwencji genewskiej, Lwów, 1887, 80, XV i 339 str.

Nie mógł autor obrać stosowniejszej chwili do ogłoszenia wyzerpującej pracy o konwencji genewskiej, aniżeli chwila obecna. Damoklesowy miecz wojny i coraz szersze koła ogarniający obowiązek służby wojskowej zmuszają każdego z nas zajmować się kwestjami z wojną związek mającemi. Która zaś z tych kwestyj może być dla ogółu bardziej zajmującą, aniżeli kwestja opieki nad ofiarami wojny, nad rannymi i zabitymi? Konwencja t. z. „genewska“ z r. 1864, która miała na oku międzynarodowe uregulowanie tej kwestji, słusznie może być nazwaną tryumfem humanizmu i chlubą dziewiętnastego wieku, jeśli przypomnimy sobie los rannych w wojnach dawniejszych. W tem miejscu winniśmy zaznaczyć że — jak słusznie podnosi Lueder w swoim dziele o konwencji genewskiej — właściwą, acz bezwiedną inicjatorką tego wielkiego dzieła była kobieta, Miss Florence Nightingale, której niezrównana działalność filantropijna na polach bitwy w czasie wojny krymskiej pobudziła Henryka Dunanta do obmyślenia projektu przyszłej konwencji. Jednakowoż konwencja genewska bynajmniej jeszcze nie rozwiązała zupełnie owej kwestji i w wielu względach potrzebuje naprawy i dopełnienia. Przedewszystkiem niedomaga ona w tym samym punkcie, co tyle innych „praw“ międzynarodowych, tj. że brak jest sankcji wykonawczej jej postanowieniom, tak że łada dziki żołnierz może je bezkarnie podoptać. Prof. Roszkowski z naciskiem brak ten podnosi. W ogóle zebrał on cały materiał historyczny i krytyczny do tej kwestji się odnoszący i przedstawił nietylko gruntownie ale też przystępnie i na tyle powabnie, na ile suchość tematu pozwalała.

Dr. Antoni Kosiba. G uczuciach sympatycznych; Tarnopol 1887, 80 48 str.

Rozprawka na temat psychologiczny przypominająca staroświeckie „dysertacje inauguralne“, naszpikowana cytatami mającemi stwierdzać głęboką erudycję autora, w istocie zaś stwierdzające tylko, że autor nie zna wcale nowszej literatury swego przedmiotu a tem samem też dzisiejszej metody badania.

KĄCIK GRAFOLOGICZNY.

W pierwszym numerze zaznaczyliśmy już, że grafologia coraz szersze znajduje zastosowanie i stała się przedmiotem, któremu ludzie uczeni, zwłaszcza psychologowie poświęcają swoją uwagę i gorąco się nim zajmują.

Ktoby sądził, że umiejętność rozpoznawania pewnych właściwości człowieka z jego pisma powstała dopiero w nowszych czasach, myliłby się, gdyż już w połowie 17. stulecia była ona znana. W r. 1664 wyszła w Bolonji rozprawa w języku łacińskim Kamila Baldo p. t.: *De ratione cognoscendi mores et qualitates scribentis ex ipsius epistola, sive de divinatione epistolaria*.

Na lat 40 blisko przedtem pojawiło się dzieło Prospera Alderisci p. t.: *Ideographia*, omawiająca ten sam przedmiot.

W r. 1812 wydał w Paryżu jakiś anonim *L'art de juger du caractere des hommes par leur écriture*.

Lavater pisał „o charakterze pisma“ w III „części swoich“ „fizjognomicznych fragmentów“.

Štruve w r. 1805 wydał Chirographignomikę czyli sztukę poznawania rozmaitych właściwości ducha człowieka z jego pisma.

Lavater w liście pisanym do Goethego wyraża się w tej mierze następująco:

„Porównując rozmaite charaktery pisma, jakie mi się nasuwają przed oczy, utwierdzam się coraz mocniej w przekonaniu, że pismo człowieka jest wiernem odbiciem jego usposobienia i właściwości duchowych, ponieważ w chwili w której powstaje odzwierciedla myśli, a tem samem i stan duszy tego, który te myśli przelewa na papier“.

Najmniejsze napisane słowo zawiera w sobie już bardzo wiele różnorodnych punktów wytycznych w tym względzie.

Wszak różnica charakterów pisma jest rzeczą dowiedzoną i sądownictwo dzisiejsze w pewnych wypadkach opiera na tej różnicy swoje poglądy i dowody. Każdy człowiek ma pewne odrębne właściwości w pisanin, które nie dadzą się naśladować.

Głośny pedagog Kinge mówi w swem dziele o zachowaniu się:

Wszystkie dzieci, które pobierały u mnie naukę pisanie wisały w początkach podług jednej i tej samej metody i pisma ich nie różniły się prawie między sobą, ale w miarę jak się rozwijały ich własności duchowe ulegało i ich pismo zmianie i każdy wychowanek miał po kilku latach odrębne zupełnie właściwości w charakterze swego pisma.

Wyraźniej zaznacza różnicę pisma znany podróżnik Kohl, mówi on:

Miałem przyjaciela, człowieka rzadkiej poczciwości, prostodusznego, cokolwiek pedanta w starym stylu. Litery w jego piśmie były do siebie zupełnie podobne, wyraźne i prostopadłe stawiane.

Inny mój znajomy, człowiek otwarty ale przekora, który wszystko odmienne widział, jak to widzieli inni, pisał także bardzo wyraźnie ale litery jego pochyły się nie z prawej ku lewej lecz wręcz przeciwnie z lewej ku prawej. Mój profesor z uniwersytetu, nadzwyczaj żywego temperamentu, szybki w pomysłach, niecierpliwy a przytem popędliwy, stawiał litery tak pochyły na linjach, że prawie na nich leżały jak wyciągnięte konie w galopie.

Adolf Henze, twórca systemu grafologicznego ocenił w swem życiu jako grafolog ilustrowanej lipskiej gazety przeszło 75.000 różnych pism i otrzymał niezliczone mnóstwo pisemnych uznań, gdzie osoby interesowane nie mogły wyjść z podziwiania, że tak trafnie i z taką nienubłaganą konsekwencją odtworzył na podstawie pisma ich wewnętrzne usposobienia i właściwości.

W następnym numerze przytoczymy niektóre ogólne zasady, według których pismo oceniać należy i w ten sposób podamy naszym czytelnikom sposobność zapoznania się i zastosowania pismoznawstwa do osób znanych im z charakteru.

Korespondencja redakcji.

Abonentowi z nad Zbrucza. — Małżeństwo morganatyczne tem się różni od zupełnego, że żona nie uczestniczy w przywilejach stanowych męża; toż samo i dzieci z takiego małżeństwa nie dziedziczą ani nazwiska ani majątku ojcowskiego. Instytucja ta, zabitek średnich wieków, dziś wyrugowaną jest z prawodawstwa wszystkich prawie cywilizowanych krajów; takowe bowiem różniący stanu nie uważają za przeszkodę małżeńską. Jedynie członkowie rodzin pannyjących uciekają się czasem do tej formy małżeństwa.

Specjalnie w Austrii morganatyczne małżeństwo prawie nie istnieje.

Kościół nie odmawia swego błogosławieństwa małżeństwu morganatycznemu; wobec niego bowiem są to małżeństwa.

P. A. S. Chod. Wierszyk pański maluje pańskie osobiste uczucia, zresztą traktowany pobieżnie. Dla „Ruchu“ nie odpowiedni.


Pani Marja Al. w Kołomyi. Myli się łaskawa pani. Wynalazcą kolei żelaznych był Stefenson.

P. Rem. Sal. Wiedeń. Będziemy się starali panu służyć, o ile na to pozwolą nasze środki.

Z A D A N I A.

Arytmogryf Nr. 1.

- 22, 1, 9, 5, 17, 14, 21, 1, 13, 11, 22, 5 — Hetman wielki koronny.
 12, 4, 3, 4, 11, 24 — Król, który dwukrotnie w Polsce panował.
 11, 24, 16, 12, 7, 5, 29, 11, 22, 5 — Jeden z braci, głośny porwaniem króla.
 21, 16, 26, 2, 15, 6, 29, 11, 22, 5 — Dowodził obroną Warszawy w roku 1831.
 17, 19, 12, 4, 11 — Miejsce gdzie się Chrystus uczniom pokazał.
 16, 17, 25, 24, 12, 9 — Poseł sejmowy wiekopomnej sławy.
 22, 4, 16, 14, 17, 7, 5, 14, 15 — Imię książąt na Litwie.
 12, 9, 2, 16, 6, 14, 10, 28, 7 — Miasto w zachod. Galicji.
 16, 1, 19, 12, 9, 1, 7, 6 — Ród największych gniebieli Polski.
 13, 17, 11, 15, 14, 15, 6, 29, 11, 22, 5 — Król który dokonał życia na wygnaniu.
 5, 9, 3, 16, 17, 11 — Ceremonja podczas instalacji biskupa.
 9, 12, 13, 17, 7, 22, 5 — Ulica w Warszawie.
 11, 1, 19, 19, 1, 11, 5, 17, 16, 16, 12 — Miejsce wstawione szarżę ułanów.
 22, 13, 12, 5, 21, 17, 2, 12 — Miasto na Litwie.
 25, 1, 12, 14, 10, 5, 19 — Imię własne.
 . Początkowe litery dają imię i nazwisko obrońcy warownego grodu przeciw Szwedom.

 **Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU“, upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.**

TREŚĆ: I. Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — II. Z życia bułgarskiego publicysty, (ustęp z autobiografii Stojanowa). — III. Z niskich lotów, wiersz Wiktora Gomulickiego. — IV. Gazeciarz i czytelnik, satyra N. Szczedryna. — V. Kara śmierci, studjum Dra. A. Złotnickiego. — VI. Jad, powieść Al. Kiellanda. — VII. Adam Mickiewicz jako rewolucjonista, przez Dra H. Biegeleisena. — VIII. Pogląd na obecny stan nauki o szczepieniu ochronnem chorób zakaźnych, podał Dr. J. Szpilman. — La Jacquerie, obraz Jerzego Rochegrossa, napisał Jacek Soplica. — IX. Ruch kobiecy. — X. Kronika ruskiego ruchu. — XI. Echa. — XII. Ze świata muzycznego. — XIII. Kronika powszechna. XIV. Ze stołu redakcyjnego. — XV. Kącik grafologiczny. — XVI. Rozwiązania, Zagadki, Zadanie szachowe. — Ogłoszenia.